





TOM VII I VIII. KWIECIEŃ — WRZESIEŃ 1919



# ZDRÓJ

## DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY SZTUCE I KULTURZE UMYSŁOWEJ :: :: ::

Nakładem Spółki Wydawniczej „OSTOJA” w Poznaniu. — Pod kierownictwem JERZEGO HULEWICZA.  
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: „Ostoja” Poznań — Plac Wolności 17. × :: :: ::

ZASTĘPSTWO REDAKCJI: Jan Śliwiński, Warszawa, ulica Flory 9.

SKŁAD GŁÓWNY NA KRÓLESTWO POLSKIE: Wende i Sp., Warszawa, Krakowalde Przedmieście.

Prenumerata roczna (na pocztę) — 72 marek, półroczna — 36 marek, kwartalna — 18 marek.  
Zeszyt pojedynczy 4 marki. — Przesyłka pod opaską 15 fen. za zeszyt.

OGŁOSZENIA: Cała strona — 150 mk., pół strony — 80 mk., ćwierć strony — 45 mk., jedna ósma strony — 25 mk.

Administracja uwzględni wypowiedzenie prenumeraty tylko na dni 14 przed upływem każdego ćwierćrocznia.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie od godziny 11-tej do 1-zej i od godziny 3-jej do 7-jej.

OD REDAKCYI: Rękopisy zwraca się po nadesłaniu kosztów przesyłki. — Odpowiedzi na listy za nadesłaniem marki pocztowej. — Rękopisy bez nazwiska autora i wyraźnego adresu niszczą się bez czytania. — — — Redakcja nie wdaje się w dyskusje na temat nieprzyjętych rękopisów ani nie podejmuje się żadnych ocen tychże.

## „OSTOJA” Spółka Wydawnicza

w Poznaniu, pl. Wolności 17  
Telefon 5100

Opuściło prasę najnowsze wydawnictwo nasze p. t.

### W przededniu nowych zadań

zbliżeniu studiów o polskich zagadnieniach gospodarczych.

Zawiera prace następujące:

- T. Adamczewski — Przyszły Bank bile towy w Polsce
- Dr. St. Pemaczyński — O emigracji not ziemskich
- Dr. Z. Karpiński — Rola złota w polityce walutowej przyszłego Banku Polskiego
- Dr. E. Rose — Król. Polskie a Galicja — Drogę zbliżenia gospodarczego
- Stefan Haupa — Polityka komunalna w Królestwie Polskiem
- Konstanty Zachert — Zagadnienia polityki drzewnej w Królestwie Polskiem
- Dr. St. Wachowiak — Wychodźstwo westalsko-nadreńskie a reemigracja
- Paweł Spandowski — Pod adresem przyszłego prawa polskiego o towarzystwach akcyjnych
- Dr. Marjan Glowacki — Przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe na ziemiach polskich i znaczenie ich dla gospodarstwa narodowego
- Stanisław Marciniak — Wpływ wojny na finansowe położenie rolnictwa w Wielkiem Ks. Poznańskiem

Cena mk. 10.—



## „BIBLIOTEKA ZDROJU”

Cena tomu 2 mk.

## RZECZY PIĘKNE

miesięcznik poświęcony architekturze, rzeźbie, malarstwu, ochronie zabytków, kościelnictwu i rzemiosłu.

Kraków, ulica Smoleńska l. 9.

# ZDRÓJ

DWUTYGODNIK POJWIĘCONY JĘZYCE I KULTURZE WNIJLIWEJ

ROK 3

KWIECIEŃ 1919

TOM VII

ZESZYT 1-2

OGÓLNEGO ZBIORU ZESZYT 37-38.

REDAKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY JERZY HULEWICZ.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: ZDRÓJ — POZNAŃ PLAC WOLNOŚCI 17.

**TREŚĆ:** Na marginesie Zdroju — Jerzy Hulewicz. Z „Listów do Matki” — Juliusz Słowacki. Wybór poezji — Oskar Miłosz (przełożyła Br. Ostrowska). Śpiew z ciemnego kąta — Józef Capek (przełożył O. K.). Łask pełna, królowo nasza — Franciszek Jung (przełożył Adam Baderski). Dwa wiersze prozą — Paul Kornfeld (spolszczyła W. H.). Iluminacje — Jan Artur Rimbaud (opozłuzyli Jarosław Iwaszkiewicz i Jerzy Rytard). Ku acenie kulturalnej — Roman Witkowski. Wioana 1919 — Olwid. Literatura rusa do końca XVIII wieku — Fr. Rawits-Gawroński. Miscellanea.

**RYCINY:** Drzeworyt — Campendonk. Drzeworyty oryg. — Jerzy Hulewicz. Rysunek — August Zamojski. Rysunek — Oskar Kokoschka. Rysunek — Paul Klee. Drzeworyt — Campendonk.



Drzeworyt: Campendonk



1840 K. 200

## NA MARGINESIE ZDROJU

JERZY HULEWICZ

(C. D.)

Ścieśnienie duchowe przeciętnego człowieka nie zezwala mu na włączanie się w tętno uczuć obcych zrzeszeń wierzeniowych, ba! każe z nieufnością poglądać ku tym, choćby najgłębszym ducha krzewicielom, którzy nie włączeni są w wspólny z nim kodeks religijny. To też zazwyczaj nie przekonują nawet najoczywistsze prawdy, skoro przez „innowiercę” głoszone są. Nie mniej przecież słuszne jest i wskazane w rozważaniach niniejszych uprzytomnić sobie Marka Aureliusza Prawdy bliskość a głębokość myśli i słów cesarza-mędrca.

A mówi on w rozmyślaniach swoich:

„Własną stój siłą — nie zaś podpierany!” — i znów myśliciel zgoła odmiennego świata wierzenie swe zlewa w jedno z przykazami prawd przytoczonych uprzednio i znów potwierdza, iż prawdy początek jeden jest niezależnie od cielesnego pochodzenia wyznawcy albo religijnej jego przynależności.

Tak oto przytoczone wyżej nauki — czy to z Anguttara Nikayo, czy z ksiąg i pism chrystyanizmu, albo z zapisków pogańskiego myśliciela — z jednego płyną źródła i jednej Prawdy objawieniem są bez względu na to, czy duch wcielony bliższy lub dalszy był ostatecznej Doskonałości.

Z wszech stron tedy i z wszelakich źródeł tradycji ducha czerpmy żdźbła prawdy póki starcza myślowych zasobów, a zwłaszcza, gdy twórczych nie dostaje.

Wszystkie wierzenia czyste (a przeciwstawieniu do sekt i religijnych kodeksów) z jednego Wiedzy źródła są poczęte, aby zlać się z Prawdą ostateczną.

„Nie wierz zgoła na słowo samo, nie wierz wieściom ani dla tego, że o czemś mówi się powszechnie...” mówi dalej Mistrz Wachodu.

Opinja!

Opinja — ten największy bodaj z bałwanów, przed którym człowiek dzisiejszy najpokorniej chyli czoło, któremu pozwala się tyranizować posłuszny jego chimerycznym rozkazom, na skinienie którego dochodzi bez namysłu do grzechu dnia codziennego i do najpotworniejszej zbrodni, dla którego znów zamierzoną zbrodnię poświęca, dla którego wreszcie bogu służy, gdyż w tym właśnie bałwanie swego „Boga” widzi i czci. O Bogu mówić ci wolno tak, jak każe Opinja. Wyznawać ci wolno prawdy Chrystusowe tylko o tyle, o ile zgodne są z „prawdami” Opinji. Tłumaczyć wolno ci słowo boże tylko według tłumaczeń Opinji, a co poza Opinją jest, tego głosić nie wolno, ani na Objawienie odwoływać się pod grozą zarzutu błędnego rozumienia pism świętych.

Nie masz myśleć zbyt wiele o sprawach ducha, jako że wszystko już prze-myślane jest i twej ślepcie oddane do użytku, natomiast myśl wiele o sprawach ciała i zaspokojeniu spraw jego, jako że tam wiele jeszcze jest do wchłonięcia i do poznania, albowiem Opinja każe doskonalić doczesnego życia wartość.

Tak oto żyć masz, a biada Ci, gdy wszechmocnemu bałwanowi kłaniać się poniechasz, albo zgoła wylamiesz się z pod przemożności jego władzy. Czyni zasię to kaźden' duch twórczy, przeto gniew Opinji jego jest udziałem. W poszukiwaniu nowych dróg ku wiedzy ostatecznej w nowych wskaźnikach tworzeniu

tkwi zarodek Buntu człowieka twórczego i rodzi się walka nieubłagana — walka z onym bałwanem, któremu na imię Opinja.

Duch twórczy zawsze zwycięża.

Z twórczego ducha ni jeden atom nie ginie, ale zaszczipiony raz w ludzkie zrzeszenie-przenika Opinję, toczy ją, rozsadza, przemienia, aż nową formę i treść nową jej nadaje.

Duch buntu ośwładnął bałwanem.

Opinja ugięła się mocy twórczej.

Rzesa zasię z przeciwnego bałwana bezwiednie nową skleciła Opinję.

Wszzechstronność i całkowita szczerłość rozmyślań zniewala do cenięcia opinji, jako że zawiera w sobie źdźbła prawd nadanych ludzkości zdobycami twórczych duchów. Taż sama przecież wszzechstronność i taż sama szczerłość nakłania do ujarznienia istniejącej opinji władzom myślowym i twórczym, jako że dla ducha wiecznie przedsię kroczącego w poszukiwaniu Prawdy niedostatecznością znaczy się — a co gorza przeinaczeniem i sfalszowaniem pierwiastków Prawdy, z których wyszła.

Jako nie zaleca się tedy Opinji wartość umniejszać, odrzucając ją całkowicie — tak też przestrzedz należy przed hołdowaniem Opinji i czynieniem z niej bałwana na ołtarzu swych wewnętrznych wierzeń i przekonań społecznych.

To przecież, czem jest Opinja dla ogółu — odrzucamy bezwzględnie. Wewnętrznie jeno przeżyte i przemyślane pierwiastki z niej czerpiemy i włączamy do myśli i poszukiwań naszych.

„Wydawać rzeczy nowe y niezwyuczayne niebezpieczno“ — stwierdził przed wiekami Januszowski

Niebezpieczno jest przeciwstawić się Opinji.

Wiadoma rzecz: niebezpieczeństwo! — a jednak... jednak konieczne.

Przecież nie konieczne w celu idealizowanych działań i poszukiwania męczeństwa rzewnego, ale konieczne z namiętności, konieczne z winy tej namiętności, która mocniejsza jest nad Opinją. Ta oto ducha namiętność toczy świat naprzód, jego jest siłą niespożyta, jego ruchem, jego płodnością — ta oto namiętność jest świata nieśmiertelnością.

Kto tedy, opanowany wszzechwładztwem Opinji, próbuje przeciwstawić się namiętności ducha, ten myli się, sądząc, iż panczerem kodeksowym umocniony, wobec żywotnej siły namiętności ostać się może, albo namiętność tę osłabić, czy też zgoła unicestwić.

Boska Ducha namiętność przemieniła świat, skoro w człowieka się wcieliła. Nie osłabiły jej żadne kodeksy wierzeniowe ani prawne, ustąpił wszzechmocny bałwan, Opinją zwany, albowiem namiętność ducha silniejsza jest nad Opinję.

Niebezpieczno jest głosić rzeczy nowe!

Niebezpieczno było też Chrystusowi przeciwstawić się Opinji i istniejącej moralności — Opinji moc też sprawiła, iż umarł na krzyżu za zbrodnię zamachu przeciw moralności przykazanej, przeciw Opinji. Wszelako boska Chrystusa namiętność silniejszą była, niżli moc Opinji, przeto w niwecz ją obróciła — jeżeli nie całkowicie, to jednak na tyle, że nieudolność człowiecza w imię Krzyża nową zdołała stworzyć Opinję, choć równocześnie Krzyż skoszławiła i swoim celom go nagięła.

Wieczna Ducha namiętność sprawia po wszystkie czasy iż nieustannie prze świat naprzód, ani na chwilę spocząć mu nie zezwala, ale biczem mu jest bożym smagającym człowiecze bydłę, iżby pługiem pruć ziemię, a urodzajną ją czyniło dla ducha.

Opinia zasię niczem innem jest, jeno „ducha zleniwieniem“. Ona to stwarza i ustala nie życia formę, ale życia formułę, iżby wszystka domniemana tajemnica wszystkim była znana, a wszystko co jest poza wiadomem jako fałsz i zło do duszy nie miało dostępu.

Ruch wszelki przed się, panującej opinii sprzeciwem jest i zaprzeczeniem — gwałt jej zadaje, iż to z rewolucyjnego ducha jest zrodzon.

Opinia nienawistna jest Rewolucji.

Duch rewolucję stwarza. Opinia przeto Duchowi wroga jest.



Drasworyt oryg. — Jerzy Hulewicz.

## Z „LISTÓW DO MATKI“

Nie przydawajcie więc zimna do zimna, i oporu światowego do oporu; dosyć jest ludzi, strzegących mizernych swoich pozycji i dumy własnej i czci światowej... i fałszów... ale muszą być i tacy, co zapomną o sobie, a wtenczas będą silni i niepokonani.

JULIUSZ SŁOWACKI.



## WYBÓR POEZJI

OSKAR W. MIŁOZ

(C. D.)

Z upoważnieniem autora przełożyła BRONISŁAWA OSTROWSKA.

## WIATR.

*Jam jest radosny wiatr, daleka, śmiała złuda  
O licu złotych pustyń i o płaszczu słońca.  
Kiedy mię z mych dalekich władztw wypłoszy nuda,  
Tedy uciekam w dal, — a stopa moja trąca  
Ciężkiego oceanu pierś, — co śni bez końca.*

*I wnet się starzec budzi i przeciąga w gniewie,  
Powstając głuchą klątwą w groźnym fal oddechu  
Na tego, który wiecznie rzuca mu w przewiewie  
W oczy, tżawe od soli, — szyd drwiącego śmiechu.  
A ja, — jakbym śmiertelny był, — lecę w pospiechu.*

*Rozkuwam szaty wód i tedy głowę nurzę,  
Żarką jeszcze od słońca, w zimnej morza toni  
I ujmuję uściskiem moją córkę burzę, —  
Potem uciekam. — Długo skarga wód mię goni:  
Czy to był sen? — Nie, to był wiatr, — to ja w pogoni.*

*Tu kusi mię daremnie modra grotą morza,  
Tam zatoka zaprasza na bezchwijne tonie...  
Lecz, poeto, — o, jakże nie kochać przestworza!  
Zbiega, co nam wieczyście znika w nieboskronie  
I pieni tęsknot naszych oszalałe konie.*

*Gdzież rzecz, któraby warta wstrzymać lot! Któż powie?  
I przetom wicher, co wieje w coraz dalsze dale,  
I wicher w twojem sercu i wicher w twej głowie...  
Czujesz, jak pędzę w wierszy twych rytmicznym cwale,  
Unosząc swoje żądze, i złudy, i żale...*

*Obowiązki, miłości, pragnienia, zwyczaje, —  
To są więzienni stróże. Za mną leć, — tułaczem,  
W samotności szczęśliwej nieskalane raje...  
Poprzez morza leć za mną: tam społem obaczym  
Nieba tak piękne, że je witać będziesz — płaczem.*

*I zmarłych, których tuli piana morza biała,  
I wyspy miłowania w brzeźnej fali rosach,  
Które są jak harmonja młodzieńczego ciała,  
I dziewczyny, jak złota kukurudza w kłosach,  
I wieże, co śpiewają mistycznie w niebiosach.*

Nie zaprzestasz nigdy twojej dzikiej pogoni:  
Będziesz biegł wiecznie naprzód, choćby drogą błędną.  
Życie to kwiat, co ginie od dotknięcia dłoni,  
I te tylko są drogie, co zbyt szybko więdną,  
Tknięte w zachwycie naszą dłonią nieogłędną.

Tutaj zagaszę niebo, indziej je rozpalę, —  
A kiedy świat chwilowy traci czar, — w tę porę  
Przewiewam. Tedy jawa niknie w mgieł oddali,  
A twym olśnionym oczom jawi się nad borem  
Tęcza młoda, grająca siedmiu barw kolorem.

Przyjdzie dzień, gdy mi rzeczesz: Dość żyć tem zwodniczem  
Życiem, co mrze i wstaje znów; wolałbym raczej  
Na czyjśm łonie płodnem, szlachetnem, dziewiczem,  
Uśpić na długie wieki ten żywot tułaczy,  
Pijany winem burzy i męką rozpaczy.

A wtenczas, ja na twarz ci tchnę z cichych odmětów  
Czystem słońcem jesieni, a potem zawichrzę  
Barkę, w dreszcz purpurowy tonących okrętów...  
I świt ujrzy już tylko sny twoje najcichsze,  
Ukołysane morzem, błyszczącym na wichrze.

## CISZA

We dnie spisz w grocie cichej, głębokiej, jak w grobie,  
Który broni Arachna przed skier słońca zgrają. —  
Dziwne wspomnienia ciebie we śnie nawiedzają,  
Bowiem całego świata przeszłość — nosisz w sobie.

Lecz, kiedy zmierzch rozszerza zgasłe horyzonty,  
Widzę, jak się powoli podnosisz z postania,  
I jak z palcem na ustach, co mówić zabrania,  
Prześlizgasz się przez mroczne twojej groty zakątki.

I na omszałym progu w tej bladej godzinie  
Łowisz ostatnie życia odruchy i głosy.  
Lecz wszystko śpi na ziemi i widzisz jedynie,  
Jak zadumany księżyc błąka się przez rosy.

Ja także czuwam, ale ukryłem się w cieniu  
Płaczącej, cichej wierzby i w trawie głębokiej,  
I nie wiesz, że cię bada me baczne spojrzenie  
I że idzie za twymi tajemnymi krokami.

Opuszczasz twe schronienie. Mimo że jest senny,  
Pójdę dzisiaj twą drogą po wilgotnym żłobie:  
W głęboki bór, nad źródła o twarzy promiennej  
I między groby, — bowiem, ciszo, Kocham ciebie.

Znam wprawdzie domy ludzkie pełne słodkich głosów,  
Lecz dzisiaj ton naczulszy byłby mi natrętny:  
Ku starych borów głębi kojącej i smętnej  
Wiedzie mnie sen księżycy wśród mglistych niebiosów.

Nie nienawidzę przeto biednych głosów ludzi:  
Rozdzierająca skarga miłości, czy lęków  
W nocy mojego serca sennie echo budzi  
I pol mię harmonją swych dalekich jęków.

Nie, słodka ciszo! Nie mam żadnej nienawiści  
Do głosów, co samotni mej gorzkiej nie ranią;  
To, co doczesnem we mnie jest i tu się iści  
Tęskni czasem za ludźmi, jak łatwą przystanią.

Znałem wielkich i znałem mądrych. I tych znałem,  
Co mię czci nauczyli dla Miłości boskiej, —  
Lecz boję się wyrazu tej uległej troski,  
Co wszystkie lica kala swem tchnieniem zuchwałem.

Po cóż ta troska, duszo, i to upodlenie!  
Człowiek pokornej ziemi jest dan za mocarza,  
Jest wolny i sam siebie bezustannie stwarza!  
Niech strząśnie jarzmo męki, co go w niemoc zenie.

A ty, ciszo przyjazna, co w całej naturze:  
Rozlewasz dzisiaj złoty balsam ukojenia,  
Zaśnij w sercu, zmęczonem wiekami cierpienia,  
Jako młody królewicz w głębokiej purpurze.

Potóż chłodną dłoń twoją na rozdartem łonie,  
Krwawiącym od pocisków litości zwodniczej...  
Zadumane twe światło niech skroń mi owionie:  
Księżycy blask miłosny, słodki, tajemniczy.

Łagodnie go ukotysz do snu. Zasię potem  
Wróc tutaj, na wierzchoły gór, dymiących w niebie:  
Tu spleciem dłonie nasze radosnym spletem  
I z melancholją wzajem zapatrzym się w siebie. —

## SŁOŃCE.

Nie przychodzę cię wielbić z człowieczą pokorą,  
Dawco wszelakiej siły, synu miłowania!  
Lecz, jak dąb, w którym soków nadmiar się przegania,  
Do ciebie prąc od rdzenia pod splekaną korą,

Tak ja do twego tronu podnoszę ramiona,  
Trzęsąc myśli świetlane i szumne listowie.  
Bowiem miłość ma nie da wyrzucić się w słowie,  
Lecz jest, jak dzikich lasów energia szalona.

*Na wysokich wierzchołach po zorze ostatnie  
Będę cię śledził zbożnie w twych skler zawierusze,  
I pozwolę ci zżewać twoje łaski bratnie  
Na me zwierzęce ciało i roślinną duszę.*

*Wygonię z serca wszystkie dawne troski mroczne,  
Co chyhają na ducha pogodną harmonję,  
I pod twemi niebiosy spokojnym być pocznę,  
Jak one, których kocham boską monotonię.*

*Żarkim płaszczem miłości pokryjesz me ciało,  
A żar twój i krew moja w splot jeden ognisty  
Stopią się, tworząc akord tej pieśni wieczystej,  
Co się rozlewa wieków harmonję wspaniałą.*

*A gdy się życie moje otworzy tym blaskom,  
Wygnaś zeń próżnej pychy i żądzę liczmany, —  
I spocznę pod światłości twej najświętszą łaską.  
Jak spoczywają zboża dojrzałego łany.*

*Zbyt długom był przed tobą nakształt ludzi ślepych,  
Których chorej źrenicy blask żaden nie zleczy:  
Bo tym jawi się jeno prawdy życia przepych,  
Którzy wzrokiem miłości upiększą wszechrzeczy.*

*Niewyraźalne serce miłości wszechświata,  
Które przepelniasz światłem oczy ziem tysiłą,  
Będę cię sławił pieśnią, co ku tobie wlecia,  
Głosem wód, polem i lasów szeroko szumiłą.*

*A wszystko cobądź złego moje serce chowa,  
Zwyrodniałe pragnienia, dzikich szalów zgraje, —  
Wszystkie te widma znikną, jak ta mgła niezdrowa,  
Co w wilgotne wieczory z łona bagien wstaje.*

*Mój sen gonit cię będzie krok w krok poprzez morza,  
Aż na tęczowe wyspy do cudnych ogrodów,  
Z których nie schodzi nigdy młodej wiosny zorza:  
W raje owoców słodkich i prostych narodów.*

*Aż, kiedy noc dziewicza ukryje cię w niebie,  
To księżyc, który spłynie na mroczne błękity,  
Będzie wraz z mą miłością, tęskniącą do ciebie,  
Wspomnieniem twej piękności, zazdrośnie ukrytej.*

## POWROT.

*Ty, której święta miłość z skal twardego toża,  
Gdzie spało moje serce pod troskami swemi,  
Zdołałaś wysiać cudem, jako z płodnej ziemi  
Łagodny uśmiech kwietnych ziół i łaskę zboża.*

*Ty, co, dając głos ludzki cichym dźwiękom fletni,  
Natchnęłaś mię miłością kłamnego narodu,  
A w nienawiść spiekiego posuchą ogrodu  
Zwoliłaś upaść serca twego rosie letniej...*

*Oto krzykiem, nabrzmiałym goryczą wdzięczności,  
Krzykiem, jakim dzień żegna ptactwo u odlotu,  
Po latach zapomnienia męk i samotności  
Witam łaskę najświętszą twój powrotu.*

*Ty, co niegdyś w mym domu mrocznym, pełnym cienia,  
Na mrące opuszczeniem me serce dziecięce  
Położyłaś dziewicze, blade twoje ręce,  
A w płacz mój tchnęłaś tajnię twój imienia!*

*Ty, któraś z chybkim biegiem moich lat umiała,  
Pod imieniem, wielbionem nad wszystkie na świecie  
Być, jako matki dobrej święta zjawa biała  
I jak družka, o sercu słodkiem, jak noc w lecie.*

*O mem dzieciństwie marzę, mówiąc imię twoje.  
Wszyscy przekleli lazur, co był mi rodzicem, —  
Ty zabrałaś pod cienia własnego spokoje  
Niemego jeszcze serca mojego tęsknice.*

*Smak azikiego owocu miały moje żądze,  
A ludzi przestraszały me łzy i tęsknota, —  
Więc poszedłem za tobą, a choć nieraz zbłądzą  
Ku otchłaniom miast wielkich, co są z krwi i błota,*

*Ilekroć mię przyciągną bagniste odmęty  
Zwodnie łatwej piękności, doczesnego plonu, —  
Ty się pojawiasz zawsze, pełna grozy świętej,  
I ukazujesz drogę nowego Syonu.*

*O, ten gród miłowania! grót cnoty powinnej,  
Którego nigdy ręka niewiernych nie psowa!  
Jeruzalem piękności, Jeruzalem nowa, —  
Spichlerz cedrowy, zbożom dojrzałym gościnny.*

*Tam też mętny strumień przenigdy nie kala  
Gościńców, które ludzka wyściela pokora,  
A serce, od swej męki i żywota zdala,  
Nie lęka się już wspomnień straszego upiora.*

*O, pozwól mi się wpatrzeć w twe święte oblicze,  
Piękne, choć często gięło się w łzach nad grobami.  
Ból nieznaczny ci rysą jego ciszę plami,  
Jak czarny łabędź plami wody tajemnicze.*

*Dusza twoja, to ciche ustronie faliste  
 Kędy drzemią pod słońca radosną poświatą  
 Obciążone owocem winnice cieniste  
 I spokojne ogrody, w których brzęczy lato.*

*Nienawiści się żarów pozbyła szczęśliwa  
 U cichych źródeł nocy, jak u zdrojów dziennych, —  
 I oto jest nazawsze w tych sferach promiennych,  
 Kędy miłość już miłość jedynie przyzywa. —*

## N O C

*Oto dzień już rozproszył lichą maskaradę,  
 Jak mrącego listowia kolory zwodnicze.  
 Nad ziemią gwiazdną cisza pochyla swe blade,  
 Zalane łzami oblicze.*

*Jak owa noc bezdenna, schodząca na ziemię,  
 Czująca znużenie moje i próżno lot zrywa.  
 Czująca znużenie moje i świata wszechbrzemie.  
 Na jego piersi spoczywa.*

*Słyszę krok Melancholji tajemny i chłodny:  
 Siostry o smutnych oczach i twarzy miłosnej.  
 Przychodzi, by oskarżyć mój żywot bezpłodny,  
 Że zabił dzień swojej wiosny.*

*Pieśniarzu! gdzieś pieśń twoja, poczęta przed jutrznią?  
 Synu Śmiały! przed życiem się skryłeś w mogile?  
 Coś uczynił z twych ojców odwagą buńczuczną?  
 Gorze! Cóż uczyniłem?!*

*Męczyłem serce moje, nie spełniwszy doli,  
 Zdrajca i kał, umieram wyzbytymi słuby.  
 Samobójstwo to chyba, — heroizm niewoli, —  
 Zbawiło mię od zguby.*

*Ostry stylus spoczywa obok karabeli...  
 Gdzie poemat, pieśniarzu, gdzie czynów twych męstwo?  
 Gdzie cel twej duszy, którą śród świata topieli  
 Niezmiennie ściga przekleństwo.*

*Będzie Ci kłamać znowu żądze tronu próżne,  
 By utopić swą nudę w szumnym winie puchy, —  
 Ta, co błogosławiłaby, jako jałmużnę,  
 Spoczywa w trumnie licej?*

*Wiedziałem o jej głębiach i zejść w nie pragnąłem,  
 Lecz wyniosłem z otchłani goryczy wspomnienie:  
 Bo znalazłem w tem piekle, zduszone popiołem,  
 Same umarte płomienie.*

*A żaloba chwil ciężkich posępnym łańcuchem  
Włókła na dnie wyrzutów swych ciąg nieskończony,  
Jak w tułactwie wieczności pod mroku obuchem,  
Upiornych widm legjony.*

*We świetliste etery, słońcami pożarne,  
Próżno, okrutna złudo, nawracasz me loty:  
To lśniące okno. Na niem me pszczoły cmentarne  
Strzaskały wyroj swój złoty.*

*Rojom pragnienia rzekę: to sidło i zdrada!  
Nie należy dowierzać sieci słońca wiotkiej:  
Na ul mojego serca śnieg pada i pada,  
I sen nad wszystko jest słodki.*

*Niechaj będę, jak woda, co śpi pod lodami,  
Bowień z głębi mej duszy najlżejszy ruch sączy  
Jad nadziei, co mąci powierzchnię i plami,  
I ze krwią moją się łączy...*

*Idę w przyszłość, co groźne szykuje mi zdrady...  
Zaś wszelka droga rani tułacza krok chory...  
Przystaję i wnet słyszę, jak wyją mi w ślady  
Wyrzutów zajadle sfory.*

*A jeżeli z przepaści klęsk moich bez końca  
Ośmielę się na niebo wzrok podnieść w pochodzie,  
To, — jak ten wilk, co wyje do pełni miesiąca,  
Aby zapomnieć o głodzie.*

*Miłość? O biada! Studnia melancholji chłodna  
Nie ugasza pragnienia, które miłość tworzy.  
Poilem się od świtu i wypilem do dna,  
Nim zachód splotił się w zorzy.*

*Ta garść uwiedłych kwiatów, którą dłoń ma strąca  
We wspólny dół pamiątek, zbyt gorzko mię pali,  
Choć mi jest bardziej obcą niż srebro miesiąca  
Na cichem srebrze fali.*

*O, stosie drzewek suchych, ogniu jednej chwili!  
Serce, zapomnień żądne pod lodów mogiłą!  
Czy to los twój? Czas mija i dzień już się chyli, —  
A nic się nie dopełniło.*

*Najgłębsze miłowanie, najmędrze zamysły,  
Kazały bić ci, serce, bardziej niecierpliwie,  
Niżli skrzydłom mew błędnych, co w locie zawisły  
Na wichrów przeciwnych grzywie.*

O, dolo ma! straszniejszej nie znałem, zaiste!  
 Krótka radość i bóle w przelotnej rozterce:  
 Na jeden cichy uśmiech i na dwie łzy czyste  
 Wydałem całe me serce.

A oto dziś, po tylu, tylu dniach, znów gra mi  
 Dalekie ciche echo w tej sennej godzinie:  
 Echo, które nie dało zatłumić się tżami,  
 Aż zatopić we winie...

Pieśń dziecinna, piastunki pieśń bez końca,  
 Od której myśl i serce płaczą pokryjomu.  
 Próżny dźwięk, który spokój cichego snu zmąca  
 Gdzieś w starym i smutnym domu.

Duszo ma! To pieśń czarów, co zgon tobie wróży...  
 Szelest kroków w nadwodnych wiklinach i prątkach...  
 Ktoś, co prawić ci idzie najciszej, najdłużej,  
 O zapomnianych pamiątkach.

Co idzie ci wyrzucić smęt i oddalenie  
 Tych, co otwarli niegdyś biedne serca czyste.....  
 — A oto już nad światem łkające milczenie  
 Chyli oblicze gwiaździste.

Dzień rozgonił swych skoczków snu cichą godziną, —  
 Lecz sen jest krótki, jako myśl kochanków płocha.  
 Grób, o, miłości moja, jest rzeczą jedyną,  
 Którą na długo się kocha.



Drawing original — Jerzy Kulawiec.



## ŚPIEW Z CIEMNEGO KĄTA

## ZPIEW S TEMNEHO KONTA

JÓZEF CAPEK

Jesień, a już nadchodzi wiosna.

W grudniu płynie rzeką ostatni parowiec, a nie wle czy wróci, bo woda nocą może zamarznąć. W listopadzie wdzwiewają ubogie kobieciny chusty na głowy i wyglądają jak Matki Boże, chociaż nie są tak ładne. Ale znam i takie co są do Marii bardzo podobne. Z pod chusty, opasującej głowę, wizerają siwiejące pukle włosów wypadających. Kiedy mgła zwiliży chodniki, już nic się nie lśni, tylko wilgoć na bruku i pierwsza gwiazda na niebie jeszcze przed zmrokiem. (Jest twoja, ponieważ na nią spojrzaleś z uczuciem nadziei); tutaj na którejś ulicy stali długo inwalidzi przed oknem wystawnem z akrypcami, gitarami, mandolinami, cytrami, harmonikami i okarimą. Widziałem ich przed miesiącem, a wczoraj tu byli znowu, pewnie stali całą zimą, rozważając głęboko nad wyborem. Trudno ci wybrać sobie instrument, na którym chcesz wygrywać pięknie; gitara wypada lepiej w pokoju, romantyczna okarina w niedzielę na wsi między żytem a miedzą; czy was ta pieśń szczerą wzruszać będzie gdy nastanie lato?

Całą zimą nie byłem ani w teatrze, ani na koncertach, nawet nie miałem na sobie lepszego ubrania; myślałem, że dla mnie zatrzyma się w biegu słońce, aby przedłużyła się godzina zapasów, wciąż nierozstrzygniętych, chociaż pora była już późna. Było to złe, bom walczyłem ze zwątpieniem z czasu, który się nie zmienia na lepsze; ustawicznie zwątpienie podczas długiej zimy. A teraz nadchodzi wiosna, czy będziesz zdolny do wlotów? Gdy bogini zielonych Kędziorów spojrzy na ciebie z cichym i szczerym uśmiechem, czy wytrzymasz to spojrzenie bez omdlenia? Nie sądzę, bo słońce, które chętnie pozwała lśnić się skrzydełkom muszki taneczniczki, zagląda w tej samej chwili do rozerwanych wnętrzości i suszy krew zabitych. Czy wychodząc za jasnego wieczora tuż u wrót domowych posłyszysz ów krzyk tysięcy, który cię już tylekroć omamiał, czy on odezwie się w rzeczywistości jako rzeczywistość uroczysta, a nie jako głos potępienia?

Jest jeszcze jesień, kiedy ostatni wyjeżdżał parowiec wzwyż rzeki ku niepewnej przyszłości w mgłę przedwieczornej, w którą daremnie wrzucał swój dym pełen skier. Gdym wracał, słychać było z ciemnego kąta okarino, pieśń czułą, bezsilną, błagalną. Był to jakiś poczywły staruszek, a sympatyczny żebraczek.

Myślałem zrazu, że to może bóg słaby i mały, skostniałej jesieni, który widocznie postanowił sobie wszystko naprawić, a zlitowawszy się nad niedołągami, chciał im przywrócić stracone łyski. Gdy zaś ze zdziwieniem bolesnem spostrzegł, że mu brak środków do urzeczywistnienia rzeczy tak sprawiedliwej, zlikwidował na miejscu zabytki owej bylejsz nocy i oddał je w niewolę wiatru jesiennemu u wszech krańców świata, który rzuca wywieszonemu sztyldami, deszczem i rozwianem liściem, dmie w Meluzynę, w dzieci zziębione, błędne i bose, tulające się po bródach. A ponieważ sam sobie wybrał w składzie instrument i począł na nim wygrywać na pocieszenie swoich ludzi, powiadając swoje żale pieśnią prostą i szczerą, przeto grał dość pięknie, choć nieco cicho, więc go tylko niewielu ludzi słyszało.

Ach, na prawdę, to, co opowiadam, wszystko zmyślone z wyjątkiem mnie samego.

Zapewne to byli inwalidzi, którzy tak długo stali przed oknem wystawnem, a teraz nieśmiało próbują skrzypiec, mandolin i gitar i pewnie także wyzible dzieci swemi dziecinnymi cymbalkami i bawidelkami grającymi. Wszystkie ciemne i zimne kąty śpiewały cicho, okna sklepowe, w których światła nie było, czarne składy węglowe, człowiek oddychający ciężko pod tłumokiem, inny trzymał w ręce chleb, inny znowu stał z pustymi rękoma.

Albo też pewnie tak było, że inwalida w kącie próbował mandoliny.

Już jest późno w nocy kiedy to piszę. Czuwam sam; nie czuwam nad sobą, ani nad śpiącym, który ciężko westchnął we śnie, ani nad późnym wędrowcem, który spieszy, nad chorym, którego dławi krwawa ślina, ani nad pociągami wyjeżdżającym ze stacji. Wiele rzeczy się doznaje i przygotowuje w jednej chwili; kiedykolwiek myśli zatrzymam i słucham, dzieje się coś strasznego. Nie lękam się, ale nie mogę tu nic zmienić. Godzina bije, kobieta właśnie porodziła, ktoś umarł, bo to była jego chwila po długim cierpieniu. Moje serce jest czyste i czeka jak dłoń wyprężona. Hamearja w świątyni tebańskiej znowu się dźwiga, zamyka oczy złośliwie; godzina bije. Co przyjdzie, aby poślinić dłoń przyszącą?

Uboga kobieta sięgła wążką ręką ku czołu, jakby chciała sobie coś przypomnieć, uspokoić się i spłoszyć jakiś żal.

Przekład O. K.

## ŁASK PEŁNA, KRÓLOWO NASZA

FRANCISZEK JUNG

Tańczyły czarne kregi.

Poprzez powietrzne drgnienia, aż drzewa wszystkie ku górze się wznoszą i pąkowie pęka, idzie kobieta. Z skibą zrosła dyszącą, kielich rozskrzoną. Słońce pędzi wprzód, tramwaj staje. Właściwie powiedziała, że zaraz wróci. Tramwaj rusza. Kobieta niesie książki pod ramieniem. I listy: Ciągłe o tobie myślę, wrastam cała — pisała przed laty. Jej listy. Lecz ten drugi czeka. Pierwszy również. Drżąca waha się tu i tam. Ponad złotymi domami spogląda na wierzchołki rozkołysane na niebie dalekim. Jutro mu powiem. Spójrzy na nią przenikliwie. Dzieckiem biegła pędem po ulicy. Drugi boi się bardzo. Milknie, gdy ona tylko nazwisko wymieni. Smutnieje, patrzy na nią bezbrinnie. Pyta się, czy on wie, żeś ty przy mnie? Ale jest coś w nim, coby się szybko skryć chciał. Nie może mu odpowiedzieć. Albo musi kłamać. Powoli go rozchyli. Ciepło całe i piękno otrzyma, by rozwinąć się zdołał ku niemu i ku niej. Czoło wysokie nosi on twarz w twarz hołocie. Może, że w bój jeszcze pójdzie przeciw temu światu. I że zwycięży, nie obejrawszy się. Stać mu się towarzyszką. Nagle głowę wzwwyż zdarta. Poczzerwiała. Chciała się obrócić. Odetchnąć wyzwoloną. Może, że głośno przemówić. Lecz dostrzegła, że wszyscy ludzie jej nienawidzą. Tym lepiej.

Poczyniała gniazdko ślać z blondynem. I dzieci będą się wszystkie bawily. Chodziła z nim na koncerty. A ponad głosy wszystkie, które ją dochodziły, tętniał dźwięk, co urastał, w tym się wykopulał i ją chłonał. Jak za dni, gdy wszystko silnem było wokół ludzi, także że samych siebie nie spozstrzegali. Wykwitał ku niej z chorałów wspólnie śpiewanych. Unosił się przed nią, gdy sobie w oczy spoglądali. Promieniał nad nią, gdy szli ulicami. Pierwszy spozstrzegł to wszystko niespokojny, że doń nie mówi. Obawiam się, że zniszczysz wszystko, jeśli do mnie nie przemówisz. Zaniepokajał się. Słowa jego twarde się stawały i urywane. Szedł z nią tą samą ulicą. Mówił o chorałach. O dźwięku. Tu splunęła. Wskazywała na przechodniów, co się za nią oglądali. Krzyczała: świnię, suki i tak dalej. Ludzie przystawali. Zwarła pięści, dygotała. Spozstrzegł, że zapominała go zupełnie. Uspokajał ją. Rwąca się za jakąś nieznaną kobietą powstrzymał chwytem żelaznym. Oczy wypelżyły z orbit, poczem cicho płakać poczęła. Bezustannie. Zatrważającą. Słyszała mówiącego, do czystości każdej potrzeba

bezpiecznika, nigdy nie może być ona przypadkową. Widział, jak przechodzi ponadtem. Później przysłuchiwała się pokornie jego wywodom. Powinien wszystko wiedzieć naprzód, nie można żyć na jego koszt, zapłata osłabia. Przypomnił sobie, że dni temu kilka świętym go zwała. Przypomnił sobie, że pogłaskała go lekliwie.

Niemym pozostał, zęby ściąwszy. Z jękiem, czemu nic mi nie mówisz.

Stłona zapada w głąb siebie, skarży się i o pomoc skomli. Znów będzie pielęgniarem. Pożoga nad nim się zwarła. Chciałby się dręczyć, by ją doprowadzić do przemówienia. Pozostawał samotny. I nie chciał tego. Nie było mu wolno. Ona poprzez to jęczała, zbrukanam taka, psem jestem. Słuchał. Lecz nie powiedziała: wybacz. Uragła blondynowi. Sprzeciwił się. On jest niewinnym, tyś go wzięła. Postaraj się, żeby się to skończyło. Płakała długo. Wieloma słowy bronił go goręcej, kończąc jednakże ciągle, niech da dowody... Zdawało się jakoby tego drugiego w obronę wziąć powinna. On nie może się wykazać, myślała. Słaby taki i maleńki. A więc dobrze, chciałby tu zakonkludować. Lecz wysunęła się jego ramionom i uśmiechała się z jękiem. Stał wryty. Słowa z gardzieli nie wydał. Krew wszystka się zbiegła. Pozostał skulony. Nie wracała długo bardzo. Zagrzebał się w poduszki. Kocham was, czuł i drgał.

Żadnej pomocy z wrażenia, że się dusi. Że się spała. Skowany był nadal i bezbranny. Wspomnił, że życzyła sobie wczoraj: Pokój dzieciarni pełen. Wspomnił jej twarz chwilami pustą i jakoby zanikłą. Do batoga gotową i nieczulą. Wyzwolenia żadnego, ogień skwierczy. Wokół niego przerażenie straszliwe, wyklętym. Tu wyloniła się przed nim zmarła, ku której jaźń jego popłynęła niepowstrzymanie. Przeciagnął się uszczęśliwion. Uspokoił się nieco. Spozstrzegł, jak bardzo związanym był z pewną bladą wesolą twarzą. Widział cienie, złote włosy, drżąco blade ciało. Odeprzeć musiał męczące wrażenie, że czuł się nią przytłumionym. Bliskość jej upalną była i majakliwą. Czasem ślizga. Lecz patrzył teraz w wytwórnię. Ujrzał jej moce przy pracy. Kowające go. Tam było jego życie. Zapadł w kojące marzenie. Cały się w sobie skulił. Usłyszał kroki kobiece i zagrzebywał się głębiej. Krzyczeń mógłby, teraz przynajmniej daj mi spokój. Nagle rozchybał się w drgawkach. Jak mgła, nad urwiskiem wisząca, się drze i znów splata. Męczył tę kobietę,

narzucał jej życie z ciemnego biorące soki kraju, przed którym drżała. Kocha słońce. Pola obejmuje dalekie i szare. W wodzie jest źródlanej i prądu kataraktach. Płonąć chce i szczęściem być... Zapadł w tępy ból. I mimo dostrzegł jeszcze, jak pozrywał moc dobywać z grozy i ohydy. Ujrzał się

pancernym, z rozwartymi oczyma. Droga jego stromo biegła i wąsko. Czuł, krok każdy przeciw światu jest. Przeciw szczęściu. Przeciw życiu najwyższemu. A jednak...

Lecz musiał to odrzucić.

Bowiem musiał odrzucić kalectwo.

Przełożył ADAM BEDERSKI.



AM August Zamejski

## DWA WIERSZE PROZĄ

PAUL KORNFELD

## I.

## MODLITWA.

Śmierć zawsze jest bliską i obawiać nam się trzeba, by nie stanąć nad grobem z ciężkim brzemieniem słów niewypowiedzianych. Dlatego siedzę tu oto i piszę, by zbyć się jarzma i uchronić się przed niebezpieczeństwem przygniatającego ciężaru w ostatniej godzinie lub nawet w pozaziemskim świecie, iżem był milczał i może przez to właśnie stałem się winnym.

Podnoszę ręce ku niebu i dzięki składam, że jestem człowiekiem, a nie czemkolwiek innym. Człowiekiem. Zdumiewam się nad tem i szczęśliwym się czuję. Od pierwszego dnia, odkąd umiemy myśleć i świadomi się sobie stajemy, przyzwyczajeni jesteśmy być ludźmi; zanadto nawet, i przyjmujemy to, jakoby tak być musiało. Zdumiewam się i ciągle przychodzi mi na myśl, że mógłbym też być stać się zwierzęciem: wężem w Indiach, dżdżownicą lub jaskółką — albo też zgoła przedmiotem jakimś: drzewem, zegarem lub powiewającą zasłoną. Szczęśliw, iż to wszystko nie stało się i, że człowiekiem na świecie jestem, losowi dzięki zań składam.

Mógłbym jako człowiek spędzić całe życie w zakładzie dla obłąkanych, pokazywać się jako cesarz chiński, generał albo zwierzę dzikie i dzień po dniu, godzina po godzinie wykonywać najbezmączniejsze skoki ku odrzeczy jednych a rozweseleniu innych; mógłbym być uboższym, niż jestem i mogłoby mi zabraknąć nawet rzeczy najniezbędniejszych: pożywienia, dachu nad głową w zimie, papieru i pióra, by spisać, co w każdym razie spisać muszę; mógłbym jako człowiek stać się też kobietą indyjską, co w czasie nieszczęśliwego małżeństwa przeklina męża swego, który jest łotrem, po śmierci jego jednakże, zamiast iść za swą tęsknotą, zacząć życie na nowo i znaleźć kochającą istotę, za znenawidzonym iść musi na stos — lecz o tem wszystkim nie myślę dzisiaj, ani o tych tysiącach niebezpieczeństw, którym uszedłem — lecz tylko o tem jednym, nieskończenie zwykłym: iż człowiekiem jestem, a nie zwierzęciem lub przedmiotem.

Może to i miło, stać na ulicy lub w ogrodzie między równymi sobie stworzeniami i żyć ziemią i słońcem i deszczem z nieba, może i miło być drzewem! Ja jednak jestem człowiekiem! Nie, nie chciałbym być drzewem i ja mogę przecież klęknąć na ziemi i całować ją, i ja mogę kąpać się w słońcu, lecz ja, jako człowiek, mogę, idąc dalej, wiedzieć o tem wszystkim, wiedzieć, że ziemię całowałem, że kąpię się w słońcu i wiedzieć o własnych uczuciach!

I zwierzę cieszy się słońcu, cieszy się pożywieniu; które-ż jednak zwierze zna rozkosz zapachu wina? Nauczyliśmy się być ludźmi. Pomyślny jednak, że o tyleż więcej istnieje przedmiotów i o tyleż więcej zwierząt, niż ludzi! Nie mógłże to ten lub ów stać się hjeną lub karpim?

Który nieszczęśliwy, gdyby go pytać, choćby i był najniezszczęśliwszym z wszystkich, chciał zostać rzeczywiście i szczerze, szkapą lub pawiem? — A zostać wężem byłoby dla mnie najstraszniejszym!

Zamykam oczy i myślę sobie, że jako pies w tej chwili chodzę po ulicy, a gdy je otworzę, wydam się mi się to szczęściem niepojętem, że jestem człowiekiem, żyjącym człowiekiem. Dziś wieczór przyjdą przyjaciele do mnie i będziemy gawędzić, śmiać się a może podarki jakie przyniosą.

Może i pies umie kochać i być wiernym. My, ludzie, mamy wszakże mowę, by móc powiedzieć, że się kochamy, możemy wiersze pisać i malować portrety ukochanej.

A o tem już wcale nie mówię: los mógł zechcieć, byśmy jako przedmioty istnieli na świecie!

Pewnie, że i zwierzę może czuć się zadowolonym, my jednak dalej widzimy: szczęście na jednym końcu, nędzę na drugim, i dziękować nam trzeba, jako ja teraz dziękuję, że żyję, że jestem człowiekiem, a nie zwierzęciem lub przedmiotem!

## II.

## MILCZĄC, DOSTOJNIEJSZYM JEST CZŁOWIEK, NIŻ MÓWIĄC.

Milcząc, dostojniejszym jest człowiek, niż mówiąc, gdyż otworzywszy usta, pełen jest błędu i kłamstwa i tysiące potrzebuje kruwki i podpor. Nie nazywa-ż on koloru liści jesiennych i koloru trupa, nie nazywa-ż on i jednego i drugiego temsamem słowem: żółty? Nie nazywa-ż on nieżywej dżdżownicy i nieży-

wego człowieka jednakże: trup? A przecież to, to nieżywe zwierze, a tamto człowiek, z którego dusza uleciała! Jakże dostojnym człowiek być może, stojąc nad zwłokami gdy wie i myśli: to zwłoki, to człowiek nieżywy, człowiek, jak i ja; tylko, że bez duszy, a ja żyję jeszcze. I ja będę kiedyś trupem. — Nędznie jednakże jest stworzeniem człowiek, stojący nad zwłokami, gdy mówi: to zwłoki, to człowiek nieżywy, człowiek jak i ja. —

Człowiek, gdy mówi, bezradnie dzieli nieskończoną przestrzeń na części i dzieli nieskończony czas na godziny. Jakże jednak potężnym być może, gdy stoi na szczycie w przestrzeni będącej góry, między wiecznością a wiecznością, między gwiazdą a gwiazdą — wdychając w swe płuca, widząc własnymi oczyma, dotykając swymi palcami, oblani wschodzącym słońcem i owiani wiatrem, niebo nad sobą, przestwór dokoła siebie — podwójnie potężny, gdy melodią przejęty: człowiekiem jestem, w przestworzu postawiony, między wiecznością i wiecznością, między gwiazdą i gwiazdą. —

W każdym człowieku jest światło i jeśli łaskę ma w sobie, jasność przeświecić go może. Dana mu wtedy doskonałość. Pięknym i czystym jest milujący, który kłęczy przed kobietą, przejęty dotknięciem jej ręki — niemądry i śmieszny, gdy mówi: kocham —! Dostojność niemej lzy samotnie płaczącego — marność narzekającego człowieka, niedostateczność każdej skargi nad nieskończonością bólu! Pies szczeka, lew ryczy a człowiek mówi — nienaruszalnym wszakże milczący, gdy cierpi lub raduje się! Dostojnym cierpiący, gdy stoi i czuje!

Dany jest człowiekowi demon, by go sądził, błogosławił i przeklinał; i sądzi on, nie mówiąc. Potężnym jest człowiek, gdy milcząc go słucha, jak i on do niego milcząc mówi — a jednak czyni zwie dobre lub złe. —

Kiedys — skłębi się odgłos wszystkich kiedykolwiek na ziemi wypowiedzianych słów i burzą spadnie na ludzkość — wtedy wzbije się dusza ludzkości! — Bóg sam jest i milczy od wiecznych czasów, ludzi wszakże jest wiele i przekłęci są, by mówić, ciągle mówić, jak wiatr wieje, jak las szumi, jak młyn się kręci, mówić bez przerwy, chwycić a niczego nie uchwycić, ścigać a niczego nie doścignąć — zaprawdę, bezradnym jest człowiek, gdy mówi — bezradniejszym niż wszyscy, poeta, gdy on, Tantal, w granice słowa pochwyć chce nieograniczoną. I ja, jakże biednym jestem, ja, co gadam, biedniejszym, stokroć bardziej opuszczonym, niż wy, do których mówię, którzy słuchacie i milczycie. —

Spółszczyła W. H.



Rysunek: Oskar Kolbecha.

## „ILUMINACJE”

JAN ARTUR RIMBAUD.

TŁOMACZENIE JERZEGO RYTARDA I JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

(KIJÓW 1917-1918)

## SCENY.

Komedja starożytna ciągnie swe akordy i rozdziela swe idyle: Bulwary rusztowań.

Filar drewniany od końca do końca skalistej przestrzeni, gdzie pod drzewami obnażonymi przewija się tłum barbarzyński.

W korytarzach czarnej gazy, za krokami przechadzających się z latarniami i liśćmi,

Ptaki komedjanckie spadają na łódź mularską poruszaną przez archipelag pokryty statkami widzów.

Sceny liryczne, przy akompaniamencie fletu i bębna, schylają się w zakątkach rozłożonych na sufitach, wokół salonów modnych klubów lub sal starożytnego Wschodu.

Na szczycie amfiteatru uwieńczonego zaroślami tworzy się czarodziejskie przedstawienie, — lub porusza się i moduluje dla Bentyjczyków w cieniu borów ruchomych, na przelomach kultur.

Opera-komiczna rozsnuwa się na naszej scenie na przecięciu dziesięciu spiętrzonych zagród galerji ognistej.

## BARBARZYŃSTWO.

W dużo czasu po dniach i porach roku, stworzeniach i krajach, Bandera krwawego mięsa na jedwabiu mórz i kwiatów podbiegunowych; (— które nie istnieją).

Stare fanfary bohaterstwa — które nam jeszcze uderzają do serca i do głowy — odrzucone poza dawnych morderców,

— Oh! Bandera krwawego mięsa na jedwabiu mórz i kwiatów podbiegunowych; (— które nie istnieją) —

Słodyczel

Żar padający przy podmuchach mroźnego wiatru. — Słodyczel — Te dżdżyste ognie i wiatr dżamentów rzucanych przez ziemskie serce wiecznie dla nas zwęglane. — O świeciel

(Poza stare kryjówki i stare płomienie, które słycać, które czuć)

Żar i piana. Muzyka, bezdnie wirujące, uderzenia lodowców o gwiazdy.

Słodyczel Świeciel Muzyko! A tam płynne kształty, poty, włosy i oczy. I lzy białe, wrzące, — o słodyczel — i głos kobiecey, przenikający do głębin wulkanów i grot podbiegunowych... — Bandera...

## GENJUSZ.

Jest on umiłowaniem i terażniejszością — bowiem otworzył dom swój ziemie burzliwej i pogwarom lata — ów który oczyścił napoje i pokarmy — który jest czarem miejsc uciekających i nadludzką rozkoszą przystanków. — Jest on umiłowaniem i przyszłością, siłą i miłością, którą my, stojąc wśród wściekłości i nudów, oglądamy lecącą po burzliwym niebie wśród sztandarów ekstazy.

Jest miłością, miarą wyborną i na nowo wynalezioną, przyczyną czarodziejską i niespodziewaną, i jest wiecznością: przyrządem ukochanym przez fatalne własności. Byliśmy prerażeni jego i naszym następstwem: o radości naszego zdrowia, porywie naszych zdolności, o uczucie egoizmu, o namiętności dla niego, który nas miłuje za swój żywot wieczysty...

A my go wołamy i przybywa... I jeżeli Uwielbienie odchodzi, jego obietnica dźwięczy: „Precz z przesadami temi, starymi ciałami, precz z gospodarstwem i z wiekiem. Już idzie na dno ta epoka!”

Nie odejdzie, nie zejdzie z niebiosów on, nie dopełni odkupienia kobiecych złości i męskiej wesołości i wszelakiego grzechu: przez sam jego byt przez samo miłowanie jego stanie się to, gdy on będzie, gdy on będzie umiłowan.

Opowiemy jego, głowy, biegi: szybką straszliwą doskonałości formy i czynu.

O wrodzajności umysłu i nieskończoności wszech świata! Ciało jego! Rozwiązanie wysnione, skruszenie się wdzięku skrzyżowanego z nową potęgą!

Wzrok jego, wzrok! Wszelkie odwieczne upadki na kolana i kary podniesione za jego przejściem.

Światło jego! stopienie wszelkich cierpień dźwięcznych i ruchliwych w najintensywniejszej muzyce.

Krok jego! Wędrowki większe od najść starożytnych hord.

O! on i my! Duma łaskawsza od zgubionego miłosierdzia!

O świecie! jasny śpiewie nowych klęsk!

Poznał nas wszystkich i wszystkich ukochał: Wiedzmy więc, jak w tę noc zimową od przyłądka do przyłądka, od gwarne go bieguna do pałacu, od tłumy do wybrzeża, od spojrzenia do spojrzenia, ze słabnącemi czuciami i siłami, nawoływać go, patrzeć nań i odsyłać go; i pod kałużami i w najwyższych pustyniach śnieżystych iść za jego wzrokiem, powiem, za ciałem, za jego światłem.

### MISTYKA.

Anioły zataczają kręgi lnianemi szatami na skłonie pagórka po trawie ze stali i szmaragdu.

Łąki płomieni buchają aż na szczyt wzgórze. Wszyscy mężobójce i wszystkie bitwy depcą grzbiem wzgórze nalewo, a hałasy wszystkich upadków snują się na wygięciu. Za prawym grzbietem linja wschodów, postępów.

I podczas gdy górny pas obrazu składa się z kręcącego i skaczącego szmeru konch morskich i ludzkich nocy,

Kwietna słodycz gwiazd, nieba i rzeczy innych zjawia się przed pochyłością jak kozł przed naszą twarzą, tworząc dołem otchłań kwiecistą i błękitną.

### ŚLADY KÓŁ.

Naprawo letnia zorza budzi liście, mgły i szmery tego zakątka parku, a nalewo wzgórze zachowują w swoim fioletowym cieniu tysiąc prędkich śladów na wilgotnej drodze. Pochód czarodziejstw. Naprawdę: wozy ładowne drewnianemi złożonemi zwierzętami, masztami i pstrami żaglami, ciągnięte w galopie przez dwadzieścia laciastych koni cyrkowych, i dzieci i ludzie na najdziwniejszych zwierzętach; — dwadzieścia pojazdów powiązanych linami, przybranych jak starodawne lub bajkowe karety flagami i kwieciami, pełne dzieci ustrojonych na sielanki podmiejskie. —

Lub też trumny wznoszące swe pióropusze hebanowe pod baldachimem nocy, ciągnięte przez wielkie siwe i kare klacze.

### KWIATY.

Ze stopnia złotego pomiędzy niemi jedwabiu, szarą gazą, płatami zielonego aksamitu i tarczami z kryształu, który w słońcu jest czarny jak bronz — widzę jak rozkwita naparstnica na dywanie ze srebrnych filigranów z oczu i z włosów.

Na agacie rozsiane sztuki żółtego złota, filary mahoniowe podtrzymujące katedrę szmaragdów; bukiety białego jedwabiu i delikatne pręty rubinów otaczają lilij wodną.

Jak Bóg o błękitnych olbrzymich oczach i śnieżnych kształtach, morze i niebo przyciągają ku marmurowym tarasom tłum młodych i silnych róz.

### ANTYK.

Synu Pana, wdzięku pełny! Wokół twego czoła uwieńczonego kwieciami i jagodą, oczy twe, gałki cenne, ruszają się. Policzki twe wydęte zwalane sokiem brązowym.

Pierś twa do lutni podobna, a w twych ramionach jasnych krążą drobne pulsowania. Serce twe bije w tym żołądku, gdzie drzemie dwoistość płci. Przechadzaj się nocą poruszając lekko to udo i to drugie udo i tę nogę niezgrabną. (lewą?)

## H.

Wszystkie potworności obrażają surowe gesty Hortensji. Jej samotność jest mechaniką erotyczną; jej znużenie dynamiką miłosną. Pod opieką dziecięctwa była ona w licznych epokach gorącą higieną ras. Drzwi jej otwarte są dla nędzarzy. Tam moralność istot teraźniejszych wciela się w jej namiętność lub czynność. — O straszny dreszczu miłości niedoświadczonych na ziemi skrwawionej i przez świetny wodór! — znajdź Hortensję.

## DO ROZUMU.

Jedno uderzenie twego palca o bęben znosi wszystkie dźwięki i poczyna nową harmonję.  
 Jeden twój krok jest powstaniem nowych ludzi oraz ich: „naprzód!”  
 Głowa się odwraca: nowa miłość! głowa się zwraca: nowa miłość!  
 „Zmień nasze losy, przesiej klęski, na początek czasów” śpiewają ci owe dzieci. „Podnieś dokądkolwiek chcesz treść naszych szczęść i naszych życzeń.” — proszą cię.  
 Przychodniu z zawsze — odejdziesz w rozległe wszędzie.

## NIEPOKÓJ.

Czyż może się stać, że Ona mi pozwoli zapomnieć o ciągle miażdżonych ambicjach, — że łatwy koniec naprawi wieki oburzenia, — że jeden dzień powodzenia uspi nas mimo wstydu naszego fatalnego nieporozumienia?

(O Palmy! djamencie! — Miłości, siło! — wyżej niż wszystkie radości i chwały! — na wszelki sposób — wszędzie — demonie, boże — młodości tej istoty: ja!)

Czyż wypadki czarodziejstwa naukowego i ruchy braterstwa społecznego będą cenne jako stopniowe przywrócenie pierwotnej szczerości? . . .

Lecz Wampir-kobieta, który nas czyni grzecznymi każe nam, abyśmy się bawili tem co nam pozostawia, lub byśmy byli w jakikolwiek bądź inny sposób jeszcze bardziej śmieszni.

Lecieć po rany, przez męczące powietrze i morze; na kaźń przez ciszę raniących wód i powietrza; na tortury, które śmieją się w ich okrutnie rozkołysanej ciszy.

## RANEK UPOJENIA

O moje Dobro! O moje Piękno! Fanfara okrutna niezdolna mną zachwiać! Ształugi czarodziejskie! Hurra na dzieło niesłychane i na ciało czarowne, poraz pierwszy! To się poczęło wśród śmiechu dzieciennego, dzieciennym śmiechem się to skończy. Trucizna pozostanie w naszych żyłach nawet wówczas, gdy ze zmianą fanfary będziemy powróceni do starodawnej inharmonji! A teraz, my tak bardzo godni tych tortur, zbieramy z zapalem nadludzką obietnicę daną naszemu ciału i naszej duszy: Obietnica ta, kłamstwo to! Zręczność, wiedza, siła! Cbiecano nam pogrześć w ciemności drzewo dobrego i złego, wygnąć wszelką tyraniczną uczciwość, abyśmy przywiedli naszą najczystsza miłość! To się poczęło paroma nieamkami i to się skończy — nie mogąc nas natychmiast przejąć tą wiecznością — skończy się to przez wylew wonności.

Śmiechu dziecienny, dyskrekcjo niewolników, surowości dziewic, strachu przed postaciami i rzeczami tutejszemi, bądźcie uświęcone przez wspomnienie wigilii dzisiejszej.

Zaczęło się to wśród wszelakiego prostactwa, a oto kończy się wśród aniołów z płomieni i lodu.

Mała wigiljo upojenia! święta, gdybyś nawet udarowała nas tylko maską. Utwierdzamy cię, metodol! Nie zapominamy iżżeś wczoraj opromieniła sławą wiek nasz każdy! Wierzymy w truciznę. Potrafimy oddać nasze życie całkowicie, codziennie.

Oto jest czas Morderców.



## ZDANIA.

Gdy świat zostanie zacieśniony w jedyny czarny las dla czworga naszych zadziwionych oczu — w wybrzeże dla dwojga wiernych dzieci, — w dom muzyczny dla naszej świetlistej sympatii — znajdę ciebie. Gdyby na tym świecie istniał tylko starzec spokojny i piękny, otoczony niesłychanym przepychem, i jestem u twoich kolan.

Gdybym spełnił wszystkie twe wapomnienia, — gdybym był tą, która cię usidlić potrafi — zadusiłbym cię.

Gdy jesteśmy bardzo uczeni, — kto z nas się cofnie? Gdy jesteśmy weseli — kto odstąpi od śmieśności? Gdy jesteśmy bardzo źli — cóż nam uczynią?

Przystrajacie się, tańczcie, śmiecie się. Nie potrafiłbym nigdy wyrzucić Miłości za okno.

Towarzyszko moja, żebraczko, dziecko potworne! jakże cię nic nie obchodzą nieszczęśni i pracownicy i moje kłopoty. Przyłącz się do nas, ty, z tym głosem niemożliwym, głosem, który jedyny będzie nam pochlebiał w tej złośliwej rozpacz.

Spokojny ranek lipcowy. Smak popiołu unosi się w powietrzu. Zapach drzewa potniejącego w kominie, — kwiaty wymoknięte — beżład przechadzek — mżenie kanałów na polach — a dlaczego jeszcze nie zabawki i nie wonne kadzidła?

Przeciągnąłem sznury z dzwonicy na dzwonice; wieńce od okna do okna; złote łańcuchy od gwiazdy do gwiazdy — i tańczę.

Wysoki staw paruje niustannie. Jakaż czarownica wzniesie się na białym zachodzie? Jakie fioletowe deszcze spadną?

Gdy fundusze publiczne tracone są na ucztach braterskich, w chmurach dzwoni dzwon z różowego ognia.

Odświeżając przyjemny smak kurzu, pył czarny pada leciuchno na moje czuwanie. — Obniżam płomień świecznika, rzucam się na łóżko i — zwrócony ku cieniowi widzę was, moje dziewczęta, moje królowe!

Za chatkami z opery komicznej dzwoni kaskada. Żyrandole wydłużają się. W wirydarzach i w alejach, sąsiadujących z meandrem — zieleń i czerwień zachodu. Uczesane jak za I-go cesarstwa nimfy Horacjusza. — Korowody syberyjskie, chinki Bouchera.

## NOKTURN WULGARNY.

Powiew otwiera wyrwy (operacyjne) w ogrodzeniach — miesza szczyty spiętrzonych domostw, — rozprasza granice ognisk domowych, — zaćmiewa drogi rozstajne.

Oparłszy się nogą o rynnę, — spuściłem się wzdłuż winnicy do karety, której epokę ściśle określają wklęsłe szkła, wypukłe malowidła ścienne i wygięte sofy. Samotny katafalk mego snu, dom pasterski mego błazeństwa, wehikul ten wiruje na gazonie wielkiej zatartej drogi; w skazie w górnej części prawego szkła kręcily się nikle figury księżycowe, liście łona;

— Mocna bardzo zieleń i błękit zalewają obraz.

Popas w okolicy śladu na żwirze.

— Tu będą gwizdać na burzę — i Sodomy i Solimy i zwierzęta dzikie i armje,  
(Czyż pocztarz i widziadlane zwierzęta pójdą dalej pod najbardziej zdyszanemi borami, aby młę z-  
nurzyć po oczy w źródle jedwabnym?)

i posyłać nas batożonych, byśmy się toczyli wśród szczekania dogów przez wody chłupójące i roz-  
lane napoje:

— Powiew rozprasza granice ogniska.

## CZUWANIA.

### I.

To jest oświełony spoczynek, nie gorączka, nie rozleniwienie, na łóżku lub na łące.

To jest przyjaciel, ani gorący, ani słaby. Przyjaciel.

To jest kochanka, ani dręcząca, ani udręczona. Kochanka.

Powietrze i świat nieszukane. Życie.

— Czyż to było to?

— A marzenie się wzmaga.

### II.

Oświełenie wraca do drzewa budynku. Z dwóch krańców sali, przy jakichkolwiek upiększeniach,  
harmonijne wzruszenia łączą się. Ściana przed czuwającym jest psychologicznym następstwem wyrębów,  
fryzów, wstęg atmosferycznych i wypadków geologicznych. — Marzenia intensywne i szybkie grup senty-  
mentalnych z istotami o wszelkich charakterach pomiędzy wszelką powierzchownością.

### III.

Lampy i dywany czuwania czynią w nocy szmer fal wzdłuż kadłuba okrętowego i naokoło burty.

Morze czuwania takie jak lono Amelji. . .

Dywany do połowy wysokości, gąszcze koronek, zabarwionych szmaragdami, dokąd rzucają się  
przepiórki czuwania. . .

Blacha czarnego ogniska, realnych nadbrzeżnych słońc: ach! cysterny magji; tym razem tylko widok zorzy.

### IV.

Jeszcze jesteś w epoce kuszenia świętego Antoniego. Wybuch przykróconego zapalu, drgnięcia  
dumy chłopięcej, zmęczenie i przerażenie.

Ale się weźmiesz do tej pracy: wszystkie harmonijne i architektoniczne możliwości będą się poruszały  
wokół twego tronu. Nieprzewidzianie doskonale istoty poddadzą się twoim doświadczeniom. Wokół ciebie  
wzbierze marząco ciekawość starożytnych tłumów i rozluźnionego zbytku. Pamięć twa i twoje zmysły będą  
tylko pożywieniem dla twego porywu twórczego. A co się stanie ze światem, gdy wynijdziesz? W każdym  
razie nie zostanie nic z obecnych zewnętrzności.

## DZIECIŃSTWO.

### I.

Ta boginka o oczach czarnych i grzywie żółtej, bez rodziców i bez dworzan, meksykanka i fla-  
mandka; dziedzictwo jej, swawolny lazur i zieleń, bieży po wybrzeżach, nazwanych przez fale bez okrętów  
imionami dziko greckimi, słowiańskimi, celtyckimi.

Na łące poszyciu — kwiaty marzenia brzękają, lśnią, świecą — dziewczyna o wargach z poma-  
rańczy, ze skrzyżowanymi nogami wśród jasnej powodzi, która głuży łąki, nagość, którą oceniają, przeni-  
kają i odziewają tęcze, flory i morze.

Damy krążące na tarasach sąsiadujących z morzem; dziewczynki i olbrzymki, czarne wapanialice  
w mehu zielono-szarym, klejnoty sterczące na żyznej ziemi młodych gajów i wiosennych ogródków — matki

młode i dorosłe siostry o spojrzaniach pełnych świętych pielgrzymek, sultanki, księżniczki o strojach i rubach tyranek, małe cudzoziemki i osoby nieszczęśliwe a ciche.

Jak nudno jest w godzinach „drogiego ciała“ i „drogiego serca“.

## II.

To ona, maleńka umarła, za krzakami róż. — Młoda zmarła mamusia idzie wzdłuż gazonu. — Wózek kuzyna skrzypi na piasku. — Braciszek (jest teraz w Indjach) tam, na tle zachodu wśród łąki gośdzików. Starcy, których pogrzebano tak wyprostowanych, gdzieś na wałach wśród koniczyn.

Rój liści złotych otacza dom generała. Wyjechali na południe. — Trzeba iść czerwoną drogą; dochodzi się do pustej oberży. Pałac na sprzedaż; okiennice oddarto. — Ksiądz zabierze klucz od kościoła. — Wkoło parku domki stróżów niezamieszkanne. Parkan tak wysoki, że widać tylko szmerliwe wierzchołki. Zresztą nic tam niema do ujżenia.

Łąki ciągną się aż do wioski bez kogutków, bez wesółych kowadeł. Szluzza podniesiona. O Kalwarie i młyny pustyni, wyspy i sterty!

## III.

Kwiaty magiczne brzęczały. Pagórki je kołysały. Zwierzęta bajecznie zręczne krążyły. Chmury zbierały się nad przyplływem utworzonym z wieczności gorących łez.

## IV.

W lesie istnieje ptak. Gdy usłyszysz śpiew jego staniesz i zarumienisz się.

Istnieje zegar, który nie uderza.

Istnieje trzęsawisko z gniazdem białych zwierząt.

Istnieje katedra, która się pogrąża i pióro, które się wznosi.

Istnieje wózek w gąszczu opuszczony lub we watażkach, zbiegający wdół ścieżką.

Istnieje trupa małych komediantów w kostjumach, spostrzeżona na drodze poprzez leśne pozycie.

Istnieje wreszcie ktoś, kto cię wypędzi gdy będziesz głodny i spragniony.

## V.

\*) Jam święty w modłach na tarasie, podczas gdy zwierzęta domowe pasą się aż do morza Palestyńskiego.

Jam uczony w ciemnym fotelu, gałęzie i deszcz biją w okna biblioteki.

Jam wędrowiec na wielkiej drodze przez lasy karłowate szum szluz głuży moje kroki. Widzę melancholijne chusty na zachodzie.

Mógłbym być dzieckiem opuszczonym na grobli, wybiegającej ku pełnemu morzu, małym pazikiem idącym aleją, której strop tyka niebios. \*)

Ścieżki są ponure, wzgórza okrywają się janowcem. Powietrze nieruchome. Jak daleko są wszystkie ptaki i źródła! Dalej może być już tylko koniec świata.

## VI.

Niech mi pochwalą wreszcie - ten grób głęboko w ziemi, ten grób pobielony wapnem z wypukłymi liściami cementu.

Opieram się łokciem o stół, lampa oświetla jaskrawo pisma, które ja idjota odczytuję na nowo i te nudne książki.

Nad moim podziemnym salonem w wielkiej odległości zarysowują się domy i skupiają w mgły. Błoto jest czerwone lub czarne. Potworne miasto, wre bez końca!

Na mniejszej wysokości znajdują się ścieżki. Po bokach niema nic prócz szerokości globu. Może przepaści lazuru? studnie ogni? Możebnie, że na tych płaszczyznach spotykają się komety, księżyce, morza i bajki.

A w godzinach goryczy wyobrażam sobie kule z szafiru, z metalu. Jestem panem Cizzy. Poczóż więc ślad okienka miałby rozświetlać załamy mego sklepienia?

\*) Watawka przekładu Miriama.

# KU SCENIE KULTURALNEJ

(NA OBRZEŻU TEATRU POZNAŃSKIEGO)

## 1.

Invideo, quia quiescunt.

Jeden dotąd mieliśmy teatr. Ach, zgoła nie lwa. Dostaniemy drugi; i zanosi się, że dwie mieć będziemy sceny wysoko a wytrwale dzierzące stanicę wycheltanego szablonu i pocziwej konwencjonalności. Oh, la tristesse... Inscenizacje poznańskie! Jak tylko sięgnę okiem widzę wydeptany wygon, upstrzoną naszą stokrótką (tak rodzimą!) — gdzieś jeno tryska płonąca dziewczanna bończynej-osterwinnej ongi reżyserji („Beatrix Cenci“)... Porywy ku lepszemu, owszem, sam i tam, były zbyt liche, bo niezdecydowanie nieśmiało: podrygi; zapędy bez rozpędu. Jedną, kilka scen dawano stylizowane; resztę wedle tradycji — awemu Bogu świeczkę; grzech więc podwójny. Bywało nawet, że kilka kulis — — lecz lepiej od ich wzrok odwrócić.

Dziwić się doprawdy. Boć przecież o miedzę, której nie było, mieliśmy wzorowy teatr, Reinhardta. Nie zachwycam się nim tak jak jego satelici lub nasze panie, co „zwiedzizwy“ go, jak było w programie berlińskiego wojażu, wylewają wrażenia w afterdinnerowej ekstazie. Cudniel Tzw. wzorem może jednak — jak Kvapilowi e tuti quanti — i polskiej być scenie ta sztuka radośnie odmłodzona, trochę krzykliwa — nie: krzykająca by wiochna bujna a jurna... (zład z wybryków tak chętnie się ją rozgrzesza). Zobaczcie sobie reinhardtowego Szekspira, a może wam w głowie powstaną nowe pomysły jak wystawić Słowackiego. (Który intensywnie tym Jedynym się przejął i świadomie na jego dramaturgii wzorował.

Wolałbym ciemną mieć na oczach chmurę,  
a patrzeć na świat oczyma Twojemi!

„Próba“ taka udała się niezle Szyfmanowi z Balladyną, o której przecie orzekł Krasiński, że apłodzona przez Szekspira w głowie Słowackiego. Najnowszym — i w czas i w jakość — a śmiałym zwycięstwem ku revivalowi juljuszowemu była, roku zeszłego, inscenizacja Księcia niezłomnego przez Drabika i Osterwę.

Wolęć aby scena nasza czerpała tchu w atmosferze Stanisławskija, Craiga, więcej nasyconej duchowością. Ale niechby choć niedalekiego Zachodu była osmoza — jak kolorem i linią wydobyc z dramatu ton mu właściwy, motyw zasadniczy; jak każda scena ma swoistą treść uczuciową, każda sytuacja własnego nastroju barwę; jak to wszystko wyraża się w najniklejszym rekwizycie. Karła, co otaczają królewicza duńskiego, wijącego się pod bodźcami wyrzutów synowskiej miłości, hypergotyckimi żądłą go ościeniami a zadziarami...

Czyż są dziś sprawy te dla kierownika teatru nowiną? — — Wyglądamy więc w nadchodzącym teatrze — konkretny postulat — malarza-specjalisty, czulego na dekoratywne, stylizacyjne szczególnie, potrzeby sceny itd. itd. O ile będzie indywidualnością i rozumieć będzie ten idiom universal scenerii, rozmiłowany w niej — wyzwoli nas od wzorów. Taki też nareszcie ugodzi w ten paskudny, czołgający się bez końca brak odwagi co oplótlszy sobie głowę całym systemem kołczastych zasięków rutyny, broni przystępu zewsząd nacierającym, daremnie! świeżym ideom. Źródło tych oparzelisk tchórzostwa sączy się, podejrzewam, z mętnej przed ryzykiem obawy — która się chyba każdemu dyrektorowi czai we faldach zawsze nieco kupieckiej duszy... Lecz śmiało! Teraźniejszość pragnie i lankie stylizacji. Moonej, zdecydowanej, pelazgijsko-grubej (niech będzie) — na wielką skalę poprostu! Zniewała nas jeno ogrom, gigantyczność... potworność. Czucie zmiażdżowało w tym przydługim Grand Guignolu.

Szept jest zduszony przez krzyk; co wczoraj zadarło do krwi, dziś muśnie powiewem...

Po tych uwagach o inscenizacji, raczej o jednym tego akordu tonie, p. dyrektor może spostrzeżo jak łatwym sposobem zasłużyć się będzie mógł scenie naszej — przy szczerej odwadze: kto wie, czy nie wręcz polskiej.

ROMAN WITKOWSKI.

# W I O S N A 1919.

Trudno się wyzwolić z kościstego zimy uścisku, zdrętwiałe członki przeciągnąć z rozkoszą po długim letargu niewoli. Szron jakby na wieki przyłgnął całunem zimnym i wieczystym znamieniem trupiej niemocy. Słońce z wyżyn strzela promieniem gorącym, a tu podmuch idzie jeden po drugim lodowaty, grad i deszcz do śniegu bardziej podobien niż do kwietniowego deszczu. Rodzące się pąki zrażone chowają się napowrót w łona pędów rodzimych. A gdy znowu załaskocze mile podmuch wiosny, ukazują się znów i żywotnymi sokami brzemienne do życia wyciągają ręce.

Od wschodu naprzemian i zachodu wicher po nieboskłonie przewala chmur czarne bałwany... bryźnie czasem grad urywany, to znów piorunu skra przekreśli niebo. A tu na wyzwalającej się ziemi pąk po pąku roztula listki i nowy ton dorzuca do przemożnego hymnu szczęścia.

A zaś pod ziemią, w ciasnych, ciemnych, labiryntowych krążgankach bez światła — lęgnie się plaga dnia wiosennego, poczwaraki i robactwo wszelakie. Rośnie to i rozsadza ciasną skorupę i na świat się przedziera pozatruwać pąki świeże i popodgryzać młode korzenie. Pod powierzchnią rozkrawaną jasnym nożem pluga roi się, a chłop frasobliwie drapie czuprynę:

„Siła robactwa dał latoś Pan Jezus...“

Poznań, w kwietniu 1919.

OLWID.



Rytmus · Paul Klee.

FR. RAWITA-GAWROŃSKI.

LITERATURA RUSKA  
DO KOŃCA XVIII WIEKUKRYTYCZNO-SYNTETYCZNY POGLĄD  
NA JEJ ROZWÓJ I CHARAKTER.

(C. D.)

IV. OKRES WPŁYWÓW POLSKICH — OD ZA-  
CZĄTKÓW LITERATURY DO T. PROKOPOWICZA.

Wspomnieliśmy o wpływie Kijowa na tworzenie się języka i literatury sztucznej, martwej, która w nader drobnej części wsiąkała w szerokie masy społeczeństwa ruskiego. Nie jest naszą rzeczą szczegółowe rozpatrywanie wpływów najpierw polskich a następnie rosyjskich na rozwój i kształtowanie się literatury, którą z czasem już można było nazwać ruską narodową. Różnemi drogami szedł ten wpływ. zanim się ustalił w najpoważniejszym ognisku naukowym Rusi, w Kijowie, ażeby ztąd promieniować dalej i kształcić ludzi, zajmujących wybitne stanowisko literackie w okresie przejściowym, z którego wyłoniło się stanowcze rozdwojenie literatury na ruską i rosyjską. Tem najpoważniejszym ogniskiem kulturalnym w Kijowie były najpierw szkoły tak zwane Brackie, utrzymywane przez Bractwa kijowskie od roku 1415, a następnie przekształcone na Akademię przez metropolitę Piotra Mohylę i ztąd zwane Akademią Mohylańską. Stała się ona nie tylko rozsądnikiem światła na Rusi, ale wpływ swój cywilizacyjny, jak to już zaznaczyliśmy nieraz, wywierała na północy i wschodzie. Nie będziemy potrącać naukowego znaczenia i charakteru tej szkoły, związanych z nią walk religijnych o unię i „błahocestije“, gdyż jest to po za naszym tematem. Niepodobna jednak nie wspomnieć, że szkoły kijowskie — najprzód brackie, a następnie Akademia wydały szereg uczonych i pisarzy wielkiej wiedzy, gorliwości religijnej i zasług na ogólnym polu literatury, jakkolwiek praca ich wsiąknęła bez wielkiego pożytku dla narodu ruskiego w społeczeństwo i literaturę rosyjską, a późniejsi pisarze i wychowawcy tej szkoły pracowali dla chwały — Rosji.

Zarodki piśmiennictwa ruskiego skielkowały w Kijowie pod wpływem polskiej państwowości, literatury i języka. Wpływ ten nazwać można „latino-polskim“. Szkoła kijowska była rozsądnikiem tego wpływu; języki polski i łaciński były w Akademii kijowskiej bądź wykładowe, bądź pilnie bardzo ich uczano a profesorowie i rektorowie tej Akademii posługiwali się językiem polskim, uważając go za ojczy-  
sty. Odrębność swoją narodową widzieli tylko w ob-

rzędku wschodnim, którego trzymali się uparczywie, ale kulturalnie łączyli się z państwem polskim, jego literaturę uważając za swoją. Jeśli posługiwali się cerkiewno-słowiańskim językiem, to zgola nie w celach narodowych, bo ludność, z wyjątkiem duchowieństwa, tak samo nie rozumiała tego języka jak i łaciny. Nie można się dziwić temu, że polska literatura i kultura górowały na Rusi, a rodzimy język pozostał się do końca XVIII w. w ludowych powijkach, gdyż mało troszczono się na Rusi o zakładanie szkół, na co narzekali taki magnat i wyznawca wschodniego obrządku jak Konstanty książę Ostrogski i metropolita Rahoza. Przy katedrach biskupich wschodniego obrządku były raczej „szkółki niż szkoły“, w których po kilku i kilkunastu żaków uczyło się. Nie bardzo pomylimy się, jeśli powiemy, że prawie do połowy XVI w. nie było na Rusi żadnej szkoły, a cerkiewno-słowiański język był większą przeszkodą do tworzenia się samodzielnej literatury ruskiej niż polski, bo bardziej od języka ludowego ruskiego był oddalony.

Dzięki bardzo bliskiemu pokrewieństwu języka polskiego z ruskim ludowym, które, jak wiemy z prywatnej korespondencji i aktów urzędowych, było w XVI i XVII w. bliższe niż teraz, w szkołach uczono tylko języka obrzędowego dla kształcenia duchowieństwa i rozumienia ksiąg liturgicznych, ale językiem tym nikt nie mówił i niepotrzebował posługiwać się, mając łatwo dostępny i powszechnie używany język polski. On przeto wspólnie z łaciną był językiem szkolnym w szkołach polskich, w akademiach krakowskiej, zamojskiej i lwowskiej, jakoteż we wszystkich niższych szkołach. O szkolnictwie wogóle na Rusi mało dbało ruskie społeczeństwo. Język ludowy uważano za narzeczcie niegodne kształcenia, język cerkiewno-słowiański był martwym i sztucznym; mając przeto powszechnie znany i używany język polski, o własne szkoły nie troszczono się. Wobec mnogości zapisów na cerkwie i monasterach, rzadko się spotyka pamięć o szkole. Dopiero ku końcowi XVI w. zaczęły powstawać szkoły na Rusi i to przedewszystkiem z charakterem wyznaniowym. Najpierwszą tego rodzaju szkołą była „bracka“ we Lwowie (1586), następnie powstała w Wilnie (około 1589 r.), wreszcie książę Konstanty Bazyl Ostrogski założył kolegium i szkołę w Ostrogu (około 1595), w końcu szkoła w Łucku nosiła tytuł „greko-latyno-słowiańskiej“. Jeśli języki grecki i łaciński były dla Rusi obce, to nie mniej obcym był także „słowiański“ i nie łatwo było znaleźć na Rusi — po za obrębem duchowieństwa — według uwagi słynnego ks. Kurbskiego, który uciekł od prześladowania Iwana Groźnego do Polski — człowieka znającego ów „słowiański“ język.

Nie trzeba było szukać daleko dowodów, bo gdy tenże Kurbski przesłał ks. Ostrogskiemu Homilje św. Jana Złotoustego „po słowiańsku“, ks. Konstanty kazał ją przełożyć na język polski „lepszaoh wzrozumienia radi“.

Kościół wschodni uważał język grecki jako „klucz otwierający drogę do poznania pisma“. Gramatyka Zyzaniego „Ekinosławiańskoho jazyka“ dawała do rąk duchowieństwu ów „klucz“ tajemniczy.

Nauka w szkołach ruskich nie miała zgola na celu wiedzy, a tembardziej rozwoju języka, ale tylko umocnienie w wierze, dostarczanie argumentów w starciach polemicznych obu obrządków. Odznaczały się one wszystkie charakterem konfesyjno-scholastycznym i nie miały żadnych dążeń narodowych. Szkoły unickie w Brześciu i Włodzimierzu zgola nie różniły się od szkół „błahoczesztywych“ — chyba o tyle, że zbliżając się bardziej do polskich, bardziej też dbały o podniesienie poziomu oświaty i chętniej służywały się językiem polskim, gdyż ów amalgamat lingwistyczny pod formą cerkiewno-słowiańskiego języka nie posiadał w sobie żadnych soków żywotnych. Dostępny przez duchowieństwo klasom wyższemu, wykształconemu, zamykał drogę językowi ludowemu do rozwoju, a zatem do tworzenia literatury narodowej. Ruskie podpisy na rozmaitych aktach prywatnych i publicznych nie dowodzą wcale odrębnej świadomości narodowej podpisujących się, lecz są raczej świadectwem odrębnego wyznania religijnego. Jest to tembardziej słuszne, że już od początku XVII w. począwszy te same rodziny, a nieraz ci sami ludzie posługują się podpisem i językiem polskim. Już nie mówiąc o tem, że w korespondencji ze sobą „panów ruskich“ rzadko bardzo spotyka się pismo „rusko-słowiańskie“, ludowego, jako barbarzyńskiego — nigdy nie używano.

Język polski stawał się często językiem polemiki religijnej różnych obrządków chrześcijańskich — między błahoczesztyjem, wyznaniem rzymskiem, a później unią. Polscy pisarze, pragnąc odwrócić swoich czytelników od herezyj greckich, pisali rozprawy swoje po polsku, zmuszając niejako przeciwników do odpowiadania w tym samym języku, coby dowodziło, jak wielce był rozpowszechniony język polski na Rusi. Stefan Zyzani, gorliwy obrońca wschodniego obrządku, znany dobrze we Lwowie jako dydachoł, wydał w roku 1595 po polsku wykład wiary według soboru Nicejskiego p. t. Katechizm, a w rok dopiero potem wydał go po rusku. Wprawdzie dzieło Piotra Skargi p. t. O rządzie i jedności Kościoła Bożego (1577), „Ruś bogatsza wykupiła i spaliła“ — jak pisał autor w przedmowie do

drugiego wydania tego dzieła, — ale już to samo dowodzi, że ortodoksi wschodniego obrządku i to najwykształceńsi między nimi, czytali je. A działo się to zarówno w Wilnie jak i w Kijowie — dwóch ogniskach literatury polemicznej kościelnej. Po polsku pisał Filalet-Broński (Apocrisis) Leon Krenza Rzewuski, Melecjusz Smotrski, Job Borecki swoje Justificatia niewinności (1622) pisze po polsku.

Często ci sami autorowie pisali po polsku i po rusku — jak Piotr Fiedorowicz w Obronie synodu Florenckiego (1603—1605) i w. in. Śród kozaków nawet język polski był tak powszechnym, że nie tylko Stefan Batory korespondował po polsku, ale i późniejsze ich układy i korespondencje jakie przytacza Okolski w Dyaryjuszu lub punkty wcześniejszych komisji — Kasrukowskiej i in., pisane i układane były przez nich samych po polsku. Chmielnicki nie tylko przed rokiem 1648, z czasów swego wojskowego pisarstwa, ale i potem, posługiwał się wyłącznie prawie językiem polskim, jako powszechnie znanym i używanym w towarzystwie ruskiem. Jedyne gdy trzeba było lajać, wówczas Chmielnicki i Krzywonos, jak na Komisji Perejaśławskiej w roku 1648, posługiwali się językiem — zgola nie cerkiewno-słowiańskim, — lecz ruskim ludowym. Z Kizielem układy prowadzono po polsku, korespondencja była polska, a Pruchty ugody w Perejaśławiu przez Chmielnickiego także po polsku były ułożone.

Mieszana lingwistyczna, jaką pisane były akty i dokumenty niektóre zawierała w sobie już dużą domieszkę elementów ludowych, a Tetera, Juraś Chmielnicki, Piotr Doroszenko częściej polskim językiem posługiwali się niż ruskim; tylko w uniwersałach do czerni używali makaronicznego ruskiego języka.

W Akademii Mohylańskiej, a przedtem jeszcze w Szkole Brackiej w Kijowie musiał przeważać język cerkiewno-słowiański, licząc się z głównym celem szkoły, ale i polski język miał wybitne stanowisko. Zanim jednak ze zlania się szkoły Brackiej i szkoły t. zw. Peczerskiej, założonej przez Archimandrytę Ławry Peczerskiej Piotra Mohyla, dokonanego w r. 1632, powstała Akademia Mohylańska, obie największe szkoły ruskie, pomimo wykładów w różnych językach, miały charakter kulturalny polski wyłącznie. Co ważniejsza, długo po Mohyle, kiedy już Kijów był w faktycznym posiadaniu Moskwy, szkoły te nie zatraciły jeszcze swego kulturalnego charakteru, ani język polski praw języka literackiego na Rusi. Rektorowie, profesorowie, pisarze, którzy z Akademii Mo-

hylańskiej wyszli, nie tylko czerpali wiedzę swoją z dzieł polskich, ale pisali i myśleli po polsku. Nawet wtedy, gdy po rusku pisali — szyk, dobór słów, nawet wyrazy były polskie, ruskimi końcówkami tylko ozdobione. Przeciwno kulturze umyślonej i towarzyskiej polskiej nigdy społeczeństwo ruskie nie protestuje, uważając ją za własność swoją tak samo jak Polacy. Tę jedność i wspólność kulturalną rozbiła poczęły najprzód walki religijne, a później klasowe, podjęte w imię odrębności stanu — Kozaczyzny, ale zgola nie wola narodu. Idea narodowa „małoruska” zaszczipioną została w literaturze ruskiej przez walki religijne i klasowe, a rozdmuchiwana i utrzymywana przez politykę moskiewską.

Nie rychło jednak ustaliła się ona. Archimandryta Peczerski, a później Metropolita Kijowski, acz Wołoch z pochodzenia, tak się z kulturą polską oswoił i zbliżył, że więcej pisywał po polsku niż po rusku. Kultura polska już w pierwszej połowie XVII w. tak głęboko wnikła do ruskiego społeczeństwa, że języka polskiego używano nawet w wypadkach uroczystych występów. Uczniowie szkoły brackiej w Kijowie witają Mohylańcę po polsku, a następnie na cześć jego wydają Mnemozynę (1633). Nawet mowę pogrzebową po jego śmierci wygłoszono po polsku.

Jezeli szkołom ruskim we Lwowie, Wilnie, a nawet w Winnicy, niepodobna odmówić wpływu na kształtowanie się literatury ruskiej, to szkoła kijowska ma pod tym względem znaczenie pierwszorzędne. Profesorowie i znakomitsi uczniowie, którzy z niej wychodzili, byli w znacznej mierze budowniczymi przyszłej literatury ruskiej i roznosicielami kultury polskiej na daleki wschód moskiewski. Między innymi mnich peczerski, a profesor, jak się zdaje, retoryki i filozofii w Akademii Mohylańskiej, Epitani Sławinięcki, uchodzący wśród współczesnych za znawcę polskiego języka, został powołany przez Nikona na profesora do szkoły Patriarszanej w Moskwie. Jan Wyhowski i Paweł Tetera, obaj po Bohdanie Chmielnickim hetmani kozaccy, byli uczniami Akademii Kijowskiej. Do tej grupy uczonych i pisarzy, która najbliższą była związaną z Akademią Mohylańską zaliczyć należy Elizeusza Pletenięckiego, Izajasza Trofimowicza Kozłowskiego, Sylwestra Kossowa, prof. retoryki, Anton. Paczewskiego, prof. poetyki, Józefa Horbowskię, prof. djalektyki i logiki, Gizela, prof. filozofii i wielu innych świeckich wybitnych ludzi.

Jednym może z najbardziej wybitnych był Łazarz Baranowicz, który czas jakiś od r. 1642 był rektorem Akademii Mohylańskiej i profesorem Retoryki. Jako pisarz i działacz polityczny przeniósł

on działalność swoją za Dniepr do Czernihowa, gdzie założył kolegium i polską drukarnię, w której i własne utwory drukował. Był to pisarz zdolny, któremu nie brak było przeblysków prawdziwego talentu, ale ani charakterem mocnym ani siłą przekonań nie odznaczał się. Chwiał się przez większą połowę życia swego między Moskwą a Polaką, jakby czekając na zwycięstwo jednej lub drugiej strony. W poemacie swoim Nowa miara starej wiary, poświęconej Carowi Aleksiejowi Michajłowiczowi potępia o stosunki wewnętrzne na Ukrainie, narzeka na wmieszanie się Turcji do wojny Kozaczyzny z Polaką za Dorosenka, uskarżając się, że:

Przez Turczyzna Lunatyka  
Ojczyznę nam Bóg dotyka.

A w Lutni Apolina odzywa się do Rusi-  
now przestroga:

Mężny Rusinie nie wadź się z Polaki.

W tej samej Lutni, wspominając o walce unji ze wschodnim obrządkiem, są zwroty, które doskonale charakteryzują jego chwiejność polityczną; chociaż powiadał, że trzeba:

Albo się trzymać jednego Wschodu,  
Albo się trzymać jednego Zachodu —  
Na dwóch gałęziach trudno ptaku siedzieć!

Kiedy pokój Andruszowski (1667) podzielił Ruś południową na moskiewską i polską, Baranowicz usiadł na „wschodniej gałęzi” i tam rozwinął akcję polityczną, godząc powaśnioną Starszynnę ze sobą lub narzucając się Carowi z radami. Zacierało się w nim powoli uczucie wspólności języka i kultury z Polaką. Baranowiczowi, jako poecie, nie brak było akcentów szczerych, nastroju prawdziwie poetyckiego ale te krople daru Apollina rozplynęły się w scholastyce religijno-formalistycznej.

Wogóle traktat Andruszowski stał się do pewnego stopnia zwrotnym punktem w tej literaturze, która acz w polskiej szacie występująca, nie była ani polską, ani ruską, ale jakąś rusko-słowiańską. Szala poczyna przechylać się na stronę moskiewską. Joa nicy Gولاتowski, uczeń Baranowicza, pisał wprawdzie i po polsku (Rozmowa Białocerkiewska 1663), ale i ruskiego współczesnego jemu literackiego języka nie zaniedbywał. Dzieło swoje p. t. Mesyasz prawdziwy Jezus Chrystus (1669 r.) napisał, jak się wyraził, „djalektem małorosyjskim” (1669). Bodaj czy nie po raz pierwszy w literackim znaczeniu użyto tego określenia. Metropolici, między nimi Wardaam Jasiński, po za sprawami kościelnymi, bardzo często posługiwali się językiem polskim, między innymi





Deerworyt: Camille Sandberg.

wstęp do Messyasza Gołatowskiego napisany po polsku.

Po za obroną interesów greckiego Kościoła i prawowierności obrządku wschodniego, która zmuszała ich niejako do posługiwania się językiem przez cerkiew uznanym lub zbliżonym do niego, byli pisarze ruscy, z małym wyjątkiem, ludźmi o wykształceniu stojącym na poziomie szkół polskich, a wogóle o kulturze umysłowej i towarzyskiej polskiej. Rzadko oni czynili wybiegi w stronę państwa polskiego ze stanowiska wrogiego, częściej uderzano w stronę potrzeby zgody, niezważając na to, że Kijów od r. 1654 był w posiadaniu Moskwy i, pomimo zastrzeżeń traktatu Andruszowskiego, zwrócony nie został.

Rok 1686, kiedy Kijów ostatecznie został ustąpiony Moskwie, był punktem zwrotnym w tworzącej się literaturze ruskiej, tak pod względem języka jak jej ducha i charakteru. Oddany pod przemożny wpływ państwowości rosyjskiej, Kijów począł przechylać się w tę stronę, przyswajając sobie przedewszystkiem politykę rosyjską względem Rzeczy polskiej. Był to wpływ na razie niezbyt widoczny, ale konieczny i wyraził się przedewszystkiem w duchu szkoły Brackiej. Jeszcze starzy wychowawcy tej szkoły żyli starymi tradycjami i dokładną znajomością polskiej literatury, ale XVIII w. sprowadził już przełom na korzyść wpływów rosyjskich w języku i literaturze ruskiej. Dymitr Tuptało, syn sztuka kijowskiego Sawy, metropolita Rostowski, który zasłynął, jako święty, pod imieniem Dymitra Rostowskiego, ukrywał, dzięki stanowisku w Rostowie nad Donem, swoje kijowskie pochodzenie. Na dalekim wschodzie nie zapomniał jednak zgłębiać języka polskiego, który tak mu był bliski, że pamiętnik swój pisał po polsku i po łacinie. Nawet werwa poetycka nieraz nawiedzała celę świętego, a wówczas wypowiadał się po polsku — jak w wierszu satyrycznym, z powodu wierzszonjanji Maksymowicza, arcybiskupa Czernihowskiego, zatytułowanym „De poesii lepore”, w którym pisał, że „źródło kastalski kryształowy — w kał się szpetny zamienił”.

Ale Jasiński, Dymitr Tuptało i niewielu już innych, byli to epigonowie Akademii Mohylańskiej — dawnego typu. Nowi pisarze polskiego języka już nie znali, pisać w nim nie mogli, rosyjskiego języka w znaczeniu nowożytnym nie było jeszcze, posługiwali się więc mieszanką lingwistyczną z wyrazów cerkiewnych, polskich, łacińskich, do których przybływały rosyjskie i ten dziwoląg nazywano językiem ruskim. Żaden nie miał odwagi sięgnąć do bogatej skarbnicy języka ludowego, który, o ile z urywków sądzić można, bliższy był bowiem do polskiego niż ten język ludowy, w którym spisano pieśni i dумы

dopiero w pierwszej połowie XIX w. Potrąciliśmy o ten temat gdy była mowa o twórczości ludowej narodu ruskiego.

Jakkolwiek jeszcze w pierwszej ćwierci XVIII w. uczniowie infimy obowiązani byli rozmawiać po polsku, ale to były ostatnie niemal błyski polszczyzny szkolnej w Kijowie. Bitwa Połtawska była początkiem końca marzeń autonomistów Rusi, skupiających się koło Mazepy. Polityka rosyjska, pod pozorem obrony cerkwi wschodniej i czystości wyznania, tłumiła wszędzie kulturę polską, gdzie resztki jej jeszcze pozostały. Robiła to ze znaną przebiegłością moskiewską: zamykała drukarnie, w których się drukowały książki łacińskie i polskie — jak tego dokonał ukaz Piotra względem drukarni w Czernihowie w r. 1720.

Wychowawcy tej szkoły kijowskiej, trwającej mimo zmienionych losów i przeobrażeń poszli już pracować — dla chwały cesarskiej Rosji.

W utworach poetyckich, która była bardzo ulubioną formą wypowiedzania się, posługiwano się wierszem sylabicznym, mało odpowiednim duchowi języka ludowego ruskiego i wzorami pseudoklasycznymi, które jeszcze aż do końca XVIII w. naznaczały rozwój piśmiennictwa narodowego, tworząc przedział między literaturą sztuczną, a ludową niepiśmienną.

## V. OKRES WPŁYWÓW ROSYJSKICH DO KOŃCA XVIII WIEKU. POCZĄTKI LITERATURY NARODOWEJ.

Najprzód tedy powstawały ku końcowi XVII a na początku XVIII wieku szkolne dramatyczne ćwiczenia i utwory grubym komizmem zabarwione, a potem dramaty, przeplatane interludjami, Tańskiego, Jerzego Koniskiego, Mitrofana Dowhalewskiego i w. in. Odbijał się w nich coraz wyraźniej prąd języka ludowego. Owe „wertepy” i „intermedje” fabrykowane jeszcze były według wzorów najbliższych — polskich, a często łacińskich na podkładzie religijno-moralnym, niekiedy wyłącznie religijnym, a zawsze prawie z domieszką elementów ludowych lub stykających się z ludem. Zatem kozak, cygan, chłop, żyd i szlachcic bywali bohaterami takich utworów. Przenaczeniem ich było albo podnosić uczucia religijno-moralne, albo bawić niezbyt wybredną w doborze tematów publiczność. W zbiorach rękopisowniczych tego rodzaju intermedji, z XVII i początku XVIII w. znajdujemy poematy jeszcze polsko-jezuickie n. p. Irodiada ili światyje mładiency z Christa muczeniki, żestoko izbijennyje Irodoru, naśladowany wzorem Eneidy przez O. Jakóba Biedermana, Fiwaida, Achilleida,

także naśladowane, a nawet Lechiada o jezuitę Alberta Inesa, obejmująca krótką historję Polski do Jana Kazimierza. W podręcznikach współczesnych poetyki były one stawiane jako wzory do naśladowania. Jasno określonego pojęcia o odrębności narodowej ani w tych poezjach, ani w utworach dramatycznych nie było. „Przeciwnie — powiada współczesny nam badacz tej literatury, pisujący po rosyjsku, — język polski wśród uczonych Rusinów (jużnokusów) XVII a nawet na początku XVIII wieku często nazywano ojczystym. W podręcznikach szkolnych w tym języku przytaczano przykłady i ćwiczenia, tak samo jak w języku łacińskim. Nawet szkolny język ruski tamtoczesny przepełniony był polonizmami i wyrazami cudzoziemskimi.“\*)

W podręcznikach, dotyczących poezji prawie wyłącznie była mowa o języku polskim i wierszu polskim. Jeszcze w podręczniku z roku 1720, kiedy już Moskwa ogarnęła całą Ruś wpływem swoim „ostrzegano, ażeby rymy nie kończyły się na go, li, la, jo, jąc, wazy, np. świętego, zacnego, czynili, mówili itp.“ Reguły tej polecano trzymać się poetom ruskim, pisującym już niby po rosyjsku jeszcze w roku 1736. „W wierszach słowiańskich — pisze autor podręcznika (Piitika), wystrzegać się końcówek na ho — blahaho, świataho, drahahø; na czy — chwalaczy, znajaczy“.

Powoli jednak wpływ polski malał. Jakkolwiek ruscy pisarze nowożytni przyznawali że pod wpływem literatury polskiej język ruski ulegał „skażeniu“, utrzymywali jednak, że niepodobna nie przyznać dużego udziału języka polskiego w formowaniu się ruskiego literackiego języka. Wpływ literatury polskiej na smak i charakter literatury ruskiej zmniejszał się w miarę oddalania się od stanowczego politycznego rozdarcia Rusi przez B. Chmielnickiego. Klasycyzm zapuścił zbyt głębokie korzenie, ażeby wpływ najbliższego Rusi kulturalnego narodu, jakim byli Polacy, mógł łatwo uleść wpływowi północnej, późniejszej rosyjskiej literatury, która w owym czasie sama zaledwie formować się począła. Obie, zarówno ruska jak i rosyjska literatura, wychodziły wprawdzie ze wspólnego słowiańskiego źródła, ale rozwijały się pod wpływem języka cerkiewnego i długo z tych powiązań wydobyć się nie mogły.

Ponieważ Kijów był ośrodkiem umysłowości ruskiej, tak długo holdował przeważnie naśladownictwu literatury polskiej, jak długo Ruś państwowo należała do Polski; potem rozrastać się począła i naciąkać państwowość rosyjską, tak samo wywierając

wpływ hamujący na rozrost literatury ruskiej. Jedna i druga długo nie dopuszczały do siebie pierwiastków rodzimych, ludowych i przez to niedomagały zawsze na brak świeżości życia i barw. Panowała w nich pewna oschłość, sztywność, nienaturalność, które, pochodząc z teorii szkolnej nauki, zadawały tylko niewielki krąg czytelników, w szkole wykształconych.

Gdy ośrodek politycznego życia Rusi przeniósł się z Warszawy i Krakowa do Moskwy, a potem do Petersburga, nastąpiła reakcja, do pewnego stopnia zanik nawet tych początków wytworzenia się literatury ruskiej, jakie uwidoczniły się pod wpływem klasycyzmu i literatury polskiej. Wpływ polityczny i państwowy Moskwy zaciężył do tego stopnia na Rusi, że wszystkie klasy urzędnicze i niezależne, a przedewszystkiem warstwy inteligentne, zaczęły ulegać temu wpływowi, zacierając swoje ruskie znamiona narodowe i kulturalne. Pisarze ruscy począli prawie bez wyjątku posługiwać się w piśmie językiem rosyjskim XVIII wieku, a nawet kształcić go jak Teofan Prokopowicz, który, pisując w języku rosyjskim, uchodził za jednego z najwybitniejszych pisarzy rosyjskich, jakkolwiek z pochodzenia był Rusinem. Język ruski nie tylko w takich warunkach nie mógł rozwijać się, ale przeciwnie — stał się przedmiotem pospolitych żartów i docinków, a pogardzany i wysmiewany jako język czerni. Mitrofan Dowhalewski, profesor poetyki uważał za obowiązujące „wprowadzać do „komedji“ osoby mało ważne jak gospodarza, Litwina (Białorusina), cygana, kozaka, żyda, Polaka, Scytę (?), Turka, Greka, Włocha“ (1736). Oczywiście, przy takim pojmowaniu „powagi“, wszystkie te osoby musiały być traktowane odpowiednio. Postać Moskala, wykluczala się z komedji jako „poważna“, bo od czasów Piotra istniała już „Tajna kancelarja“, w której rozprawiano się z niepokornymi — knutem.

Przez cały prawie XVIII wiek literatura ruska tak zlewała się wsiąkała w rosyjską, że z trudem tylko okrucy jej dadzą się wydzielić z wielko-rosyjskiej literatury. Często tematem, lecz nie duchem i charakterem różniła się od niej. Co ważniejsze — nie chciała się różnić. Pragnęła być echem i polityki rosyjskiej. Stąd wytworzył się cały szereg pisarzy, których Rusini zaliczają do swoich, Rosjanie — do swojej literatury. A trzeba przyznać, że Rosjanie mają pod tym względem większą słuszność, bo zaliczają ich do literatury rosyjskiej na podstawie języka, którym posługiwali się. Do grupy takich pisarzy zaliczyć należy Prokopowicza, Dowhalewskiego, Skoworodę, filozofa i poetę, Grzegorza Luteńskiego i w. in. Stanowią oni okres przejściowy od lite-

\*) Petrow: O ezerki iz istorii ukraïnskoj literatury XVIII w. Kijew. 1880. Str. 6.

ratury sztucznej, pseudoklasycznej do narodowej, zarówno w Rosji jak i na Rusi, kiedy na północy i na południu, w Petersburgu, Poltawie, Kijowie poczęto, zamiast sztucznego używać języka rodzimego. Ale zwrot ten bardzo powolną drogą odbywał.

Prokopowicz wpływem swoim i talentem wyprzedził literaturze ruskiej wielką szkodę: popularyzując tematy ruskie w języku rosyjskim, narzucał niejako ten język współczesnej jeszcze inteligencji jako coś lepszego i wyższego od rodzimego i formował odrębne uczucia patriotyczne: rusko-rosyjskie. Próbę takiej patriotycznej liryki musi służyć wiersz p. t. Pokutujący Zaporoziec (Zaporoziec kajsuczysia) napisany po przejściu Mazepy do Karola XII z garstką wojska Zaporoskiego. Odczuwało się może w nim na chwilę uczucie miłości Ojczyzny, skazanej przez Piotra na ciężkie przejścia. Znalazł się między młotem a kowadłem — poczał tedy usprawiedliwiać „błąd“ kozaków z jednej strony, a z drugiej — prawil o wielkoduszności Piotra. Przytoczymy kilka strofek dla przykładu:

Cz to mnie dieiat', ja neznaju  
A bezwiestno propadaju!

Atamany i hetmany!  
Popał ja w waszki obmany.  
Propadiet wy za porohi  
Lisz — by ne zbitsia s dorohi.  
Ne wpaś' by mnie w silny ruki,  
Ne priniať-by atrasznoj mukii  
Prohniewał ja samodierzica  
Z mało razaudnabo aerđca.  
Da moj że w tom rozum twerdyj,  
Że Boh i Car miłosierdnyj,  
Hosudar gniew swoj ostawit  
I Boh menia ne ostawit.

Jest to próbka równocześnie nastroju politycznego poety i języka, jakim się posługiwał i talentu pisarskiego, w swoim czasie bardzo wysoko cenionego. Daje ona także miarę małych wymagań pod względem poezji współczesnych Prokopowiczowi ludzi!

Wszystkie rodzaje poezji, od liryki począwszy, odznaczają się temi samemi zaletami suchości i niewolniczego pochlebstwa. Prokopowicz był niejako urzędowym chwalcą carów i ich polityki od Piotra począwszy. Przy wstąpieniu na tron Anny Joanówny, córki glupkowatego Iwana, brata Piotra W., kobiety ograniczonego umysłu i nierządnych obyczajów, jak wszystkie carowe od Katarzyny I. począwszy, Prokopowicz powitał hymnem pochwalnym o nieznanem dotychczas w Rosji napięciu pochlebstwa i fałszu.

Tak się zalecał Carowej:

Procz ustupaj, procz,  
Peczalnaju nocz!  
Solnce woschodzit,  
Swiet wozwodit,  
Radost' rodit.  
Procz ustupaj, procz,  
Peczalnaju nocz!  
Solnce Anna wozajjala,  
Swietlyj nam doń darowała.

Ty nam jaśnyj świet,  
Ty kraśnyj świet,  
Ty krasota,  
Ty dobrota,  
Ty weselije  
Welija!  
Twoju derżawa  
Naśza to sława.  
Da wozneset Bog  
Sily twojej rog  
Wrągi twoi pobiedzaja  
Tiebia w biedach zastupaja.  
Reyte wei ludi:  
O, budi, budi! —

Inni poeci tego przejściowego okresu literatury, którą możnaby nazwać rusko-rosyjską, pisali w duchu moralno-religijnym, potracając często tak ulubioną i faworyzowaną przez politykę Rosji stronę „krzywd“ polskich i „dobrodziejstwa“, doznanego przez Ruś od Moskwy. Pisywali oni najprzód na te tematy tem „jazyczijem“ sztucznem i martwem, jakiego próbki przytoczyliśmy, a później już w języku literackim rosyjskim — począwszy m. w. od Łomonosowa aż do czasów najnowszych. Jak Łomonosow pisał urzędowe ody na wzięcie Chocimia, tak ruscy i rosyjscy jego naśladowcy, przypochlebiając się Carowym, opiewali — nie bez nagrody — ich zwycięstwa. Bezdarny wierszokleta Tredjakowski, którego paziowie i dostojnicy dworscy poszturchiwali i po twarzy bijali, pisał odę na poddanie się Gdańska, a syn protopopa Lewandy, którego ojciec w czasie pobytu Katarzyny IV w Kijowie (1786) miał uroczyście i kwieciste kazania dla carowej, z takim patriotycznym samochwalstwem odzywał się o zdobyciu przez Potemkina Oczakowa:

Nu, proniał zima i naś to chołodami!  
Da cztó? Oczakow wział, tak i zima spłodami!  
Ne widno znaijeca s łunou na wahu',  
Porzod Huaseju — parza zaaczestnik w kabalu.  
Dowolno zriedyń plad, no dla Stambula kisel —  
Szeštoje Dekabria on wyczertniet iz cziael.

Nastój tryumfalny był bardzo w modzie śród literatów rusko-rosyjskich, ruskich — według narodowości, rosyjskich — według języka i polityki. Osobliwą łaskawością zaszczytane były Carowe, wychwalane rymami i prozą. Gdy po Annie Joanównie na tronie zasiadła córka Piotra Elżbieta, wnet

ją, z powodu przyjazdu do Kijowa w roku 1744 powitał panegirykami Michał Kozaczyński, a dwaj ucamiowie Akademii Mohylańskiej w tym-że samym czasie popisywali się przed nią *Dialogiem*.

Temat walki Rzeczy polskiej z kozakami w pseudoklasykcyjnej sztucznej literaturze ruskiej wnet po wojnach Chmielnickiego począł być ulubionym tematem ćwiczeń szkolnych i literackich. Dotychczas brakło ruskim autorom popularnego bohatera, a Chmielnicki nadawał się tem bardziej, że był i dla Moskwy, jako przedstawiciel idei politycznej, wielkiego znaczenia. Wychwalając Chmielnickiego, zaznaczano w ten sposób swoją prawomyślność polityczną wobec Moskwy.

Lirykę, panegiryk i odę w sztucznej literaturze, o której mówimy, wyprzedził poniekąd dramat — w bardzo szerokim pojęciu tego wyrazu. Zaczątki jego, w ruskiej literaturze, jak i wszędzie rozpoczęły się od przedstawień pasyjnych, coraz bardziej rozszerzanych pod względem tematu. W ten sposób zatracać one począły misterjalny charakter, a zbliżać się z czasem do wzorów pseudoklasykcyjnego dramatu. W rozbudzeniu patriotycznych uczuć rosyjskich wzięli bardzo wybitny udział pisarze gente Rutheni, nazione Mosehi — i to w stopniu o wiele wyższym niż rdzenni Rosjanie. Miało to miejsce albo na tle wspólnych dziejów, zapoczątkowanych w Kijowie, a wówczas dramaty i tragikomedje miały podkład moralno-religijny, albo na tle wspólności plemiennej i walk Rusi z Polakami, a wówczas podkład był polityczno-narodowy, a raczej polityczno-państwowy. Kierunek ten, nadany dramatowi wogóle, wyszedł z Kijowa i długi bardzo czas był zasilany pracą kijowskich uczonych, przeważnie dawnych uczniów i profesorów Akademii Mohylańskiej, lub pisarzy blisko stojących Akademii.

Pominąwszy literaturę pasyjną w jej przeróżnych rozgałęzieniach, zatrzymamy się dłużej nieco nad dramatem i tragikomedją według pojęć tamtoczesnych rozumianą. Jakkolwiek Łazarz Baranowicz już sił swoich i na tem polu próbował, wpływ literatury polskiej prawie do połowy XVIII wieku był bardzo wielki i jeszcze widoczny, dopiero ośmieszany Tredjakowski, a po nim Łomonosow wpływ ten przewały — osobliwie ostatni — na stronę języka północnego, wielkorosyjskiego, któremu zabezpieczyli panowanie i rozwój. Po nich horyzont myśli politycznej państwowej rosyjskiej rozszerzać się począł, a literatura pogłębiać się i europeizować.

Na tem polu Prokopowicz odegrał rolę bardzo potrzebną. Będąc zwolennikiem polityki Piotrowej, w jego duchu rozwijał jego idee polityczne, stając się bardzo gorącym szerzycielem patriotyzmu, zabarwionego polityką rosyjską, który spopularyzował

w swoich dramatach, odach i lirykach. Niezależnie od tego szerzył ten wpływ przez szkołę, będąc rektorem i profesorem poetyki w Akademii Kijowskiej. Literatura, której ton i rozpad nadał Prokopowicz, może nosić nazwę wyłącznie kijowskiej, nawet pod względem języka, której pomimo chęci zbliżenia się do rosyjskiego, zachował odrębność stylu, składni, tematów i charakteru miejscowego.

Zapoznajmy się z nią w główniejszych formach i tematach.

Stykając się z kulturalnym zachodem tylko przez Polskę, Ruś tylko na tej drodze łączyła się z nim kulturalnie i umysłowo. Źródła wpływów bizantyjskich, nawet przez cerkiew, wyschły zupełnie. Te, które sączyły się od IX wieku, a nawet wcześniej, chociaż się nie zawsze dadzą dokładnie ująć, wsiąknęły w życie Rusi, obyczajowe i kulturalne, i zaskrzepły, tak samo jak zaskrzepła w pewnych formach sztuka bizantyjska i w malarstwie przetrwała do dziś dnia. Pogrom mongolski przeciął te wpływy zupełnie, a powoli począły przenikać inne — zachodnio-europejskie, które przez polską szkołę i życie publiczne przesączały się do Rusi, coraz bardziej w miarę zwiększającego się zjednoczenia jej z Polską. Pośrednikiem tym był najprzód język łaciński, a potem polski. Za pomocą łaciny zapoznała się Ruś z pisarzami, zarówno okresu klasykcyjnego jak i późniejszego i jeśli nie na tych wzorach, to pod ich wpływem kształtować się począły zarodki piśmiennej literatury ruskiej.

O wertepie i misterji mówiliśmy poprzednio, jako o formach twórczości, powstałej pod wpływem literatury i prądów polsko-łacińskich. Powstały one o wiele wcześniej przed wpływem na rozwój literatury ruskiej państwowości rosyjskiej i dla tego wyłączyliśmy je zupełnie z grupy wpływów rosyjskich.

Przez cały ciąg w XVIII nie tylko nie pozbyły się one swego charakteru, ale przeciwnie, przybierać począły cechy bądź bardziej ludowe, bądź zatracać charakter misterjalny, przybierając formy dramatu religijnego lub na tle religijnem. Tyle można powiedzieć o misterjach XVIII wieku. Co zaś do wertepu, począł on przybierać, jak intermedje i interludje, charakter komedji, a raczej farsy pewnego rodzaju — z wykluczeniem z niej pierwiastka religijnego.

Z misterji i wertepów począł powoli rozwijać się dramat, najprzód religijny, zanim się stał dramatem historycznym i obyczajowym. Po Symeonie Potockim i Baranowiczu przyszedł Teofan Prokopowicz z całym szeregiem naśladowców, którzy nie tylko stworzyli Literaturę kijowską, ale

ulegając wpływowi języka rosyjskiego i usiłując oddziaływać na szerszą publiczność, język swój literacki ozdabiali polityką i formą pseudoklasyczną.

Zarówno misterje, wertypy, intermedje jak i dramaty religijny rozdziły się często pod wpływem szkolnej nauki, były dziełem profesorów, niekiedy uczniów, a przeznaczone do przedstawień w określonym czasie, miały często charakter popisów szkolnych, nie ukazywały się w druku, lecz w odpisach różnych przechowywały się w bibliotekach bądź Akademii kijowskiej, bądź monasterów, a niekiedy i po prywatnych bibliotekach. Z tego materiału pod wpływem twórczości indywidualnej i siły talentu powstał się kształcić dramaty.

Na czele można powiedzieć nowszej literatury — kijowskiej — stanął Teofan Prokopowicz (1681—1736), kaznodzieja duchowny, poeta liryczny, profesor poetyki i retoryki i pisarz dramatyczny. Według teorii, wyznawanych przez niego, szczytem twórczości poetyckiej miała być tragikomedja. Rozgłos mu zjednał dramat, tragikomedja pod tyt. „Włodzimierz książę krajów słowiano-rosyjskich“\*) grany przez uczniów Akademii Mohylańskiej w roku 1705. Treścią tego utworu jest fakt przyjęcia religii chrześcijańskiej przez Włodzimierza, zwanego Wielkim, księcia kijowskiego i przedstawienie wyższości religii chrześcijańskiej w stosunku do pogańskiej pod względem etycznym. Ścierają się tu dwie potęgi: pogańska, reprezentowane przez bojara Włodzimierzowego Jaropelka i kapłanów pogańskich Żerywoła, Kurojada i Piejara (!) i chrześcijańska w postaci „filozofji“, wychwalającego księcia religię chrześcijańską według obrządku wschodniego, Andrzeja Apostoła i aniołami, i chrobrego (Chabrij), rodzaj hetmana, ogłaszającego narodowi wesolą nowinę — przyjęcia religii chrześcijańskiej przez Rus. Apostoł Andrzej przedstawiony jest zgodnie z tradycją kroniki kijowskiej Nestora. Cieszy się on i powiada:

\*) Pełny tytuł brzmi: „Władimir, sławeno-rosyjskich stran kniaz i powelitel ot niewiecija t'my w świat ewangelikij priwedenyj Duchom światym ot I. Ch. 988, ny nie że w prawosławnoj Akademii Mohylianakoj Kijewskoj na pozor rosijakomurodu ot blahorodnych rossijskich synow, dobrze szdieś woapitujemych, dżejatwajem, jeże ot piit naricajetria tragikomedija, lieta gospodnia MDCCV. Ijula 3 dnia pokazanij“.

Se toj jest' świet, jehozę, duchom zdie wadi mij  
Obieszczah ti, Kijewie, hradie moj lubimij.

Stosownie do ścierających się dwóch potęg — chrześcijańskiej i pogańskiej, Włodzimierz i filozof wyposażeni są w powagę, rozum i cnotę, a kapłani pogańscy przedstawieni są jako okpiwacze i wyzykiwacze ludu. Względnie do poglądów, pracujących na charakter tragikomedji, ścierają się tu dwa pierwiastki: wysoki i komiczny. Komiczny oczywiście przypada kapłanom pogańskim. Żeriwoł, który jest do pewnego stopnia antytezą Filozofa (przedstawionego według kroniki Nestora), pierwszy obwieszcza Jaropelkowi podejrzenie swoje co do wierności starym bogom Włodzimierza:

Az pierwyj podziel jeha, jako liciemniro  
Naczat bohah służiti: alysi tajnu strasznu.  
Pierwije on ku bogam i żrecam prostraszczu  
Imie ruku i, jehda żertwu prinozaaze  
Radost', prazdnik, torżeztwo, weselije naze  
Bie tohda: woli tołati i tuczniej krawi  
Ubiwajemy biachu i dowolno strawi  
Ne bozi tokmo, no i żeryc imiejachom  
! ne tokmo ni malo tohda ne służachom.  
No wieruj mi, o kniaże, żrec Peruna boha  
Dobre czrewo ispolnił od tuka premnoha  
So Perunom — — — — —

No użę szczodrost' i zmieni.

Taka zmiana w uosobieniu Włodzimierza rzuca postrach wśród kapłanów pogańskich. Zbliża się święto Peruna. Kurojad zwołuje lud na tę uroczystość, ale Piejar (śpiewak, późniejszy djak) powstrzymuje go wiadomością, że Żeriwoł „nie gotów“ — nie ma czasu. Kurojad nie wierzy —

Weszcz se ne podobna.  
Żerti jemu nieat' wremia! Prolaszczajezcie, družę!  
I wierujuszi tako; ja wiory nejuże:  
On — by chotiel, daby był prazdnik besprestantnij.  
Az diwnuju wieszcz widiel, kohda napitannij  
Mnohimi żertwami on leżazę w ochładzie,  
A czrewo jeha biazę prewelikoj kładzie  
Podobnoje; obaczę w zyłosti tolikoj  
Znamenije byst' hlada i alczby welikoj:  
Skreżetazę zubami na mnozie bez miery,  
Dwiza usta i hortań! j

I wo nie żret Żeriwoł.

## MISCELLANEA

## „SIŁA ROBOCTWA DAŁ LATOŚ PAN JEZUS“.

## Wiosna!

Wiosna Narodu polakiego! Przez kilka pokoleń wyciekłwna Wiosna — wytęskniona zadumą starca-weterana, wymodlona płaczem kotanego dziecięcia, wywalczona hartem ludu Wiosna Narodu!

Chłop zasiał, co potem awym zrasza ojczytą ziemię, i że płodną jest w chleb poważadni, zoczywszy mnogość ziemnych poczwary i roboctwa, wzdycha: „Siła roboctwa dał latoś Pan Jezus“ (Olwid — Zeszyt 1—2. Tom VIII „Zdroju“).

Zaiste! Rozkwita wolności kwiat, a już miliony poczwary pelzają ku niemu, iżby podgrzyać korzenie a do bujności i rozkwitu pełnego nie dopuścić. Patrzejmy jeno wokół siebie: Jak ziemia nasza długa i szeroka — poczwary złości i nienawiści rozmnożyły się plenniej tej wiosny, niżli po inne lata. Żaden wódz Narodu od Kościuszki i Słowackiego nie został obdarzon tak pełną czarą gorczy jak dziaiejczy Naczelnik — Józef Piłsudski. Nigdy najczystniejsze hasła ludzkie i narodowe nie splugawiono tak doszczętnie jak w chwili obecnej.

Popisem dla największych orgii onych rozmnożeń nadmierne poczwary w narodzie, jest moment rozpętania się waszytkich niskich instyktów w człowieku, to moment walki o jego życiowe potrzeby i jego wierzenia, w którym to wprowadza się do boju waszłaką broń, bez wyboru — byle jeno zwyciężyć, byle zgnieść przeciwnika.

## Wybory!

W Polsce wolnej stoczono już walkę o przedatawicielstwo w izbie prawodawczej; i tam też mnogość roboctwa ujawniła się, waszłako nie zdołała podgrzyć korzeni rozkwitłego kwiatu wolności.

W pozostałej zasiał części Polaki, ujarzmionej jaszczce — już nie przez siłę obca, ale przez jednaki ambicne, które podstępem i nadużyciem narodowych hasel owładnęły latwowiernymi i narzuciły im nową niewolę i nie dopuszczają pod różnemi pozorami (n. p. tyfus plamisty!) do zjednoczenia Ojczyzny — w Wielkopolsce rozmnożyło się roboctwo zastraszające.

## Zaraza idzie z góry.

Nienawiścią przepelniony był „Sejm dzielnicowy“ w Poznaniu, nienawiścią podtrzymany, i straszliwie umocniony jest kordon graniczny między Polską a dzielnicą b. zaboru pruskiego, nienawiścią przepojone są nasze organa prasowe — a w tej oto chwili rozwinięto nienawiści jaskrawy sztandar, pod którym to znakiem odbyć się mają wybory w naszej dzielnicy. Nienawiści zniamię spotegowano obłąda, albowiem na tym sztańdarze odważono się wypisać hasło „solidarności narodowej“.

Nasi „atróże moralności“ mają cel jeden: z w y c i ę ń y c. Mało dbają o to, ile walką swą i walki tej niegodziwym sposobem akrywią charakterów, ile duż zaszepca, ile pragnień szlachetnych odwróca od „celów ostatecznych“.

Waluchawczy się w wir wyborczej walki i uwierzywszy w waszytkie wytaczane zarzuty, przekleństwa i kalumnie zwątpiły należało w jakakolwiek wartości wewnętrzzną ludzi, tworzących nasze społeczeństwo. Słyszemy tam, że waszyacy są iłi, waszyacy przewrotni, waszyacy samolubni, waszyacy sprzedajni. Poważeczny brud, a w brudzie tym pelza roboctwo.

... Może nie wielu jest wśród nas, którzy „tworzą swe celom ostatecznym zwrócili“, może nawet nie wielu jest takich, którzy stoją na progu Świątyni Ducha, zbudowanej przez wielkich twórców naszych, może nie wielu jest takich, którzy jaszczce do Świątyni wejść nie ważą się, ale już kołatają nieśmiało do jej wrót.

Może niewielu jest takich, waszłako są, są z pewnością. Tym tedy wołamy, jako że ich przyjacielmi z ducha się czujemy: Niechaj przyziemności mrowie nas nie obejdzie! Niechaj rozszalałe dnia namiętności i waszytkiej nienawiści rządze i waszytka obłąda i zmaganie się z codziennością obce nam będzie i niechaj stanie poza nawiasem naszej istoty. Niechaj chaosu chwile, to zewnętrzne majaki nie zmącą nam olympijskiego spokoju, niechaj nie akrywią naszej drogi, która ku „celom ostatecznym“ wiedzie nas, a przez nas — Naród. Nie ten stwarza Narodowi przyzłość, kto w powszedności stacza walkę i posługuje się walki sposobem sprzecznym z „celom ostatecznym“, ale ten, kto walczy duchem poprzez dnia powszedniość, ten, kto nie opuści ani na chwilę „Świątyni Ducha“, akoro raz do niej wstąpił mocą duchowej spójni z wielkimi naszymi twórcami.

Tam oto jest gmach narodowy; tam narodowa przyzłość.

My! nie oni — Jesteśmy przyzłością Narodu, lub śladem polskiego Genjusza idziemy i siłę jego rozbudowujemy. Za światłem polskiego Genjusza pójdzie Naród i jego mocą wyjdzie zwycięzki choć „siła roboctwa dał latoś Pan Jezus“.

## I. Wystawa Formisłtów Polskich w Warszawie

otwarta w Polakim Klubie Artystycznym przy Alejach Jerozolimskich zgrupowała 97 dzieł następujących plastyków polakich: Leon Chwistek, Tytus Czyżewski, Gustaw Gwoźdecki, Jan Hrynkowski, Tymon Niesiolowski, Andrzej Pronaszko, Zbigniew Pronaszko, Władysław Skoczylas, Stan. Ignacy Witkiewicz, Rom. Kamil Witkowski, Jan Żyznowski. Z poznańskiego „Buntu“ wzięli w wystawie udział Jerzy Hulewicz i August Zamoyski.

Wydany gustownie katalog wystawy zawiera „Wstęp objaśniający“. Ignacy Witkiewicz, A. Zamoyski i Z. Pronaszko, jako też cytaty poglądowe Leonarda da Vinci, J. Metzger'a — A. Glazeisa i H. Mattisa'a wprowadzić mają widza na tor ideowy i twórczy, po którym bieżą artyści dzisiejsi i ujawnić ich cel, ich ideal. Czy zamiar ten, pomyślany exzessliwie, osiągnie zamierzony skutek — zależy nie tylko od tych, którzy twórczości swej owoce podają, ale i od tych, którzy do nich przybliżyć się pragną. — O wystawie samej podamy czytelnikom naszym exzessliwosze uwagi w przyszłym zeszytcie „Zdroju“.

Salon Tow. Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu. Niejednokrotnie zwracaliśmy uwagę na systematyczne obniżanie się poziomu artystycznego wystaw Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Poznaniu. Mniej lub więcej reklamowane wystawy ostatnich miesięcy muszą zniszczyć do zwiedzania salonu każdego, kto tylko posiada odrobinę szacunku sztuki. Dla tego to zmuszeni byliśmy szereg ostatnich wystaw pominąć milczeniem. Obecna zasiał wystawa zmusza nas do podniesienia protestu przeciw świadomemu czy nieświadomemu profanowaniu Sztuki ze strony decydujących czynników.

Prócz trzech, może czterech prac zasługujących na wystawienie w salonie widzimy tam same śmiecie ostatniego rzędu. Przerazająca pustka ziele z ician salonu, a tandeta z ram obrazów. Szczytem zasiał upadku naszych wystaw jest rozwiastanie fotografij — powtarzamy dołownie: fotografij! Może sądziłby kto, że wystawiono fotografie np. architektoniczne i. t. p., co byłoby dozwolone? Ale gdzież tam! Ot, fotografie upozowanych osób i krajobrazów! Jakkolwiek popróbuje może dyrekcja salonu uzasadnić policzenie fotografij w poczet dzieł sztuki, to będzie to waszwe dowodem żadnego, albo bardzo luźnego związku naszego salonu ze Sztuką.

Tak więc przeżywamy od długiego już czasu barbarzyńskie bojkotowanie istotnych dzieł sztuki o ile ta są wyrazem

nowych, twórczych poszukiwań, których nasz stróż salonu nie zdolają pojąć i odczuć, i równocześnie pielęgnowanie obrzydliwych fabrykatów i słodkich malowanek, przypadających do gustu każdemu profanowi z ulicy.

Jest to z jednej strony grzeszonym pomiataniem naszą kulturą i apozowaniem zmysłu artystycznego naszej publiczności, z drugiej zaś strony trwonieniem publicznego grosza, albowiem z grosza publicznego utrzymuje się akromny poznański przybytek sztuki.

Miejmy nadzieję, że wystawa ta jest jedną z ostatnich o tak niskim poziomie. Ożywcze prądy twórcze z Krakowa i Warszawy niewątpliwie w krótkim czasie ukroczą łeb tandancie; a powołane do życia ministerstwo sztuki zapewne krea położy oplakany stosunkom.

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

*Panu Fr. D. w W.* Milo nam powitać w Panu jednego z tych niewielu badaczy naszego życia społecznego, którzy z całym spokojem i sumiennością bacznie obserwują przejawy otaczającego nas ruchu zbiorowego. Wierymy, iż to właśnie spokój ten i sumiennosc ta przemieniła Pana z „zdecydowanego przeciwnika” naszego w „gorącego przyjaciela Zdroju”. I choćby działanie pisma naszego ograniczone było do pozyskania mocą przekonaniowej wytrwalosc jednostki tylko, to — za prawdę — nie próżną była praca nasza. — Uwagi zaś pańskie dotyczące dalszej walki pisma naszego akwapliwie pod uwagę bierzemy, jako że odmówić im nie możemy wiele słuszności; a zwłaszcza, że bieżą wyraźnie po idooewj linii „Zdroju”. Nie mniej przecież pozwolimy sobie na uwagę: Zbiorowe życie badamy zawsze u podatawa. Genesę jego i rozwój poznajmy, by je samo słuszniej oceniac. Wtedy łatwo unikniemy błędów akcentowania zbytyniego takich zjawisk, które — acz pierwszorzędnymi i zasadniczymi się wydają — z istotą rzeczy nie mają wiele wspólnego. Nad zjawiskami takimi „Zdrój” zawsze stara się przejść bez zachłyśnięcia. I oto przeżywamy dzisiaj właśnie moment, który ujawnia taką mnogość pierwiastków obniżających wartość społeczną, że zwątpićby należało, gdyby nie wiara, iż to są zjawiska nie z istoty narodu płynące, ale raczej skrzywienia jednej dziejów chwili.

Istotnie — w momencie, w którym przeważną część t. zw. inteligencji ogarnął szal pogoni za urzędami, znaczeniem a do-stojnością, że w pogoni tej błędnie jasność przelomowej chwili — w momencie takim przytuszony jest głos kaźden, który jednak jest w wazelkiej życia zmienności, iż to nie jest głosem chwili. Stłumiony jest moze dziś głos „Zdroju”; wszako nie tym ślemy słowa nasze i podajemy skarby twórczości polskiej i obcej, którzy w pogoni za urzędami zapodzielili gdzieś siebie aemych, jako zapodzielili gdzieś Ojczyznę, której imię wiecznie uatami łakomemi ziemskiej sytości i chwaly kałaja — ale tym, którzy poza zgłębkiem atając, w linią wytyczną życia wiecznie wpatrzni, zwodniczą siłą dnia zmilić się nie pozwolili.

*Panu H. C. w P.* Nadesłanej nam rozprawy „Szkoła bezwyznaniowa” nie wydrukujemy mimo wielu cennych spostrzeżeń w niej zawartych. Drukować pracy pańskiej nie możemy z względów zasadniczych; nie godzimy się bowiem ze stanowiskiem zwróconem przeciw któremukolwiek z religijnych obrządków; pan zaś ostrze awych wywodów zwracaś wyrażnie przeciw katolicyzmowi. Jesteśmy wyznawcami bezwzględnej tolerancji wobec wszystkich wierz i przekona. Mimo to — a raczej właśnie dla tego — jesteśmy przeciwnikami szkoły wyznaniowej i pod tym względem, acz z odmiennych wychodząc założeń, z Panem się godzimy. Nadmie-

nić wypada, że przeciwstawianie okradleniu „szkoła wyznaniowa” okradleniu „bezwyznaniowa” nie jest słuszne; chodzi bowiem raczej o szkołę międzywyznaniową. Lepiej przecież zwąc dążenia te żądaniami szkoły świeckiej w przeciwstawieniu do szkoły wyznaniowej. Nikt przecież bowiem nie dąży do wyrugowania nauki religij jak takiej że szkół nasyżych; ale domagać się trzeba bezwarunkowej tolerancji dla wszystkich istniejących religij.

Żadna religia sama w sobie nie jest lepszą od innych, o ile jest religią czystą, a nie zaś sekta. (Religiami „czystymi” zwimy przedewszystkiem Buddyzm, Mozaizm, Chrystjanizm, Ialam).

O wartości zaś danej religij decyduje wewnętrzny stosunek człowieka do Boga, nigdy mądrość i spryt ustaw religijnych i moralnego kodeksu,

Stąd wynika słuszność i konieczność zupełnej tolerancji i — co za tem idzie — szkoły międzywyznaniowej, która by była na usługach kaźdego dziecka w państwie bez względu na wyznanie.

Poza zasadniczymi temi podatawami, szkoła międzywyznaniowa ma dla państwa nieocionione znaczenie. Różnice wszelkie mogące dzielić mniejszość obywateli państwa od większości należy łagodzić lub usuwać. Zaostrzenie różnic religijnych jest szkodliwe tak dla ludzkości całej, jak dla danego państwa, a pozatem spacza psychę jednostki i oddala ją od ostatecznego celu religijnego. Historia wykazuje szkodliwość walk religijnych, zamienających religie w sekty, wprowadzających do ustrojów państwowych rozkład a nie prowadzących nigdy do zwycięstwa I d e j i. Jedyną religią na kuli ziemskiej, w imię której nie zatracono ani jednego żyjącego stworzenia jest Buddyzm.

Chrystus zasię skarcił Piotra, iż ten ważył się podnieść miecz przeciw Malchusowi w imię Miatra; i choć w imię Krzyża zatracono miliony ludzi (wojny krzyżowe, św. inkwizycja, Krzyżacy), to przecież były to zbrodnie rozpętanych pierwiastków zwierzęcych, z istotnym chrystjanizmem nie mające nic wspólnego; były to zbrodnie sekciarskie, niezdolne aplamić religij czystej.

Pod jakimkolwiek tedy kątem widzenia rozważać będziemy stosunek religij do państwa, zawsze dojdziemy do ostatecznego wyniku, do konieczności religijnej tolerancji bez zastrzeżeń. Tolerancje tę winniśmy więc wprowadzić do szkoły polskiej jako podatawy wychowania; stworzmy zasię ją tylko przez odrzucenie przewodnictwa jakiegokolwiek religij, jakiegokolwiek sekty. Wtedy z dziecka stworzmy pełnego człowieka w myśl idej wielkiej miłości bliźniego i wszystkiego żyjącego stworzenia. Państwu zaś przysporzmy siły — także pod względem liczebnym obywateli z przekonania, choćby przez ułatwienie dobrowolnej asymilacji obcych żywołów.

## O PISMA NORWIDA.

Na skutek liczących zapytań z grona czytelników Zdroju: dla czego nie publikujemy w dalszym ciągu „Niedrukowanej Korespondencji Norwida”? — wyjaśniamy, że daje się to z winy niedostarczenia nam rękopisów przez p. dr. Erzepkiego, wbrew zobowiązaniu i wielokrotnym przyrzeczeniom. Zarówno czytelnik jak redakcja Zdroju skazani są na cierpliwe czekanie, zanim rka dobroliwie otrząsnąć zechce zadroany pył zapomnienia z pism nieśmiertelnego poety.

## „REWOLUCJA W NIEMCZECH”.

Humorystyczna książka z wierszami satyrycznymi Juliana Tuwima i stosownymi ilustracjami Artura Szyka. Zarówno poeta jak i rysownik wykazali tu wielki dowcip i bystrą obserwację charakteru upadłego prusactwa, przyczem zdolali utrzymać się na właściwej wyżynie artystycznej.

Redaktor naczelny i odpowiedzialny: Jorzy Holowicz, Kościelnic. — Przedstawiciel redakcji w Warszawie:

Jan Sliwiński, ulica Flory 9. — Nakładem Spółki Wydawniczej „Ostoja” w Poznaniu.

Wszelkie prawa autorskie, przekładu oraz reprodukcji zastrzeżone. Copyright by „Ostoja” Poznań.

Odbito w tłoczni „Pracy” w Poznaniu.



# Oryginalne drzeworyty i akwaforty

Artystów: **Jerzego Hulewicza, Małgorzaty Kubickiej, Stanisława Kubickiego, Stefana Szmaja, Władysława Skotarka, Jana Wronieckiego, Augusta Zamoyskiego**

👉 nabyć można za pośrednictwem naszym 👈

REDAKCJA „ZDROJU” — Poznań, Plac Wolności 17

## „POLSKA”

PISMO TYGODNIOWE Z OBRAZKAMI,  
POLITYCZNE, SPOŁECZNE, OŚWIA-  
TOWE, GOSPODARCZE, SPRAWOM  
LUDU POLSKIEGO POŚWIĘCONE.

Prenumerować można wprost z redakcji:

**Warszawa, ul. Hortensji, Nr. 7, m. 21.**

oraz

na wszystkich pocztach w okupacji **niemieckiej.**  
(Skrzynka pocztowa No. 64).

**PRZEDPŁATA** wynosi rocznie 10 mk. półrocznie 5 mk.; kwartalnie 2 mk. 75 fen. miesięcznie 1 mk. w **okupacji niemieckiej**, a 15 koron rocznie, 7 kor. 50 hal. półrocznie, 4 kor. kwartalnie i kor. 50 hal. w okupacji austriackiej.

## „SPRAWA POLSKA”

Tygodnik polityczny  
:-: i społeczny :-:

Cena zeszytu **60 fen.**

Prenumerata kwartalna **6 mk.**

ADRES REDAKCJI i ADMINI-  
STRACJI: ulica Szkolna 3., I. p.

## BIBLIOTEKA „ZDROJU”.

Ukazały się trzy tomy „Biblioteki Zdroju”. Nabyć je można w składach głównych „Zdroju” w Warszawie, Lwowie, Krakowie oraz w administracji „Zdroju” i w „Ostoji” w Poznaniu.

- Tom I. Między wiosną i latem najświętsza godzina — Paul Claudel — 2 mk.
- Tom II. Samskara (opowieść) — Jerzy Hulewicz — 2 mk.
- Tom III. Ekspresjonizm — Słowacki i Genesis z Ducha. — Stanisław Przyby-  
szewski — 4 mk.

# S. KALAMAJSKI, Plac Wolności nr. 2.

**Dla Pan**  
Bluzki  
Gorsety  
Halki

Pończochy  
Rękawiczki  
Kotlerzyki

**Dla dzieci**  
Sukienki  
Trykoty  
Fartuszki

Torebki  
Kołnierzyki  
Kapelusze

**Dla panów**  
Skarpety  
Rękawiczki  
Krawaty

Szelki  
Trykoty  
Parasole

TOWARY KRÓTKIE — KORONKI — WSTAŻKI.

## Wielkie Sale Wystawowe

znajdują się teraz

przy ul. Berlińskiej 10 wysoki parter

Antykwariat - Stała wystawa obrazów.

K. ANDRZEJEWSKI, POZNAŃ, ul. Berlińska 10 w. p.

## „OSTOJA“ Spółka Wydawnicza

Tel. 5100. w Poznaniu, pl. Wolności 17. Tel. 5100.

Opuścili prasę najnowsze wydawnictwa nasze:

**T. KONCZYŃSKI:** Blaski miłości — powieść mk. 7,50

**M. SCHEFFS:** Ziemstwa Kredytowe i Kredyt Rolniczy w Dzielnicy Pruskiej mk. 9,—

**CZ. ANDRZEJEWSKI:** Żywiół niemiecki w Zachodniej Polsce mk. 3,60

**I. W. KOSMOWSKA:** Libelt jako działacz polityczny i społeczny mk. 2,70

## ZAKŁAD OŚWIETLANIA

### LOUIS PERLS,

POZNAŃ, ul. Berlińska 18 (Teatr Polski).

Telef. 3133

Telef. 3133.

Nadzwyczajny wybór

wykwintnych przedmiotów do oświetlania elektrycznego, gazowego i okowicianego w wytwornem i skromnem wykonaniu.

Aparaty do gotowania i ogrzewania

## Bracia Kiwi

Tel. 2947 Poznań, ul. Wiktorji 9 Tel. 2947

Cieszący się najlepszą renomą  
magazyn stylowych wielkopańskich  
urządzeń mieszkalnych.

∴ ∴ Najwyższa sprawność. ∴ ∴

## Fortepjany, pjanina i harmonja.

Jak wiadomo, tylko fabrykaty pierwszorzędne, także Boehstaina, Berdixa, Steinwega, Schiedmayera, Hlinka, Horügla, Burgera itd.

**Karol Ecke** w Poznaniu, ul. Wiktorji 19

założ. 1843

Berlin-Drezno. Najwięk. i najstarszy magazyn. Katalogi bezpłatnie.





P. 22287